

Niemieckie roszczenia na Warmii i Mazurach

Przed półtora roku w Sądzie Najwyższym zapadł precedensowy wyrok, na mocy którego Niemka odzyskała około 50 hektarowe gospodarstwo rolne w Nartach (gm. Jedwabno). Pozbawiła tym samym dachu nad głową cztery mieszkające tam rodziny. Dzisiaj podobnych pozwów odnotowano na Warmii i Mazurach ok. 150.

O majątkowych roszczeniach obywateli Niemiec mówi się niewiele. To temat niewygodny i niepoprawny politycznie. Drogą dyplomatyczną staramy się łagodzić stosunki polsko-niemieckie, ale niejako za kulisami tych oficjalnych rozmów dzieją się rzeczy jak na XXI w. niebywałe. Tzw. późni przesiedleńcy, podobnie jak owa Niemka, która już ziemię odzyskała, uciekali do Niemiec dobrowolnie zrzekając się obywatelstwa polskiego, a za pozostawione w Polsce mienie uzyskując od niemieckiego państwa rekompensatę i w wielu przypadkach odszkodowanie w Polsce. Dzisiaj wracają, żeby odzyskać „swoje” lasy, ziemię i domy. Takich pozwów, na drodze administracyjnej i cywilnej, odnotowano na Warmii i Mazurach ok. 150. Kolejnych 20 to zapytania i innego rodzaju sygnały o zainteresowaniu wokół posiadłości zakwalifikowanych przez władze PRL jako „majątek opuszczony”.

Problem pojawił się jednak już na początku naszego stulecia. W 2002 r. Ziomkostwo Wschodniopruskie zorganizowało w Olsztynie zlot, w trakcie którego rozdawano ulotki z twarzą małej, uśmiechniętej dziewczynki, napisem „Heimat nur für Oma?” („Czy ojczyzna tylko dla babci?”) oraz adresem kontaktowym do wspomnianego ziomkostwa. Rozdawano też mapy z granicami Prus Wschodnich z 1937 r. To wszystko legalnie, na wynajętym stadionie i za zgodą polskich władz samorządowych.

Kiedy Polska wkroczyła w struktury Unii Europejskiej otworzyła się droga formalno-prawna do roszczeń na ziemiach polskich. Wszystkie koszmary, które dotychczas pojawiały się tylko w głowach eurosceptyków zaczęły się urealniać. Niedoskonałości „Traktatu o dobrym sąsiedztwie” z 1991 r., w którym nie znalazł się zapis o rezygnacji z roszczeń majątkowych, niedoskonałości w przejmowaniu

opuszczanych posiadłości, „dziury” w polskim prawie, wszystko to stało się przyczyną rosnącej liczby pozwów kierowanych przeciwko osobom prywatnym, a w znakomitej większości przeciwko państwu polskiemu. Czyli, pośrednio, każdemu z nas. Okazało się bowiem, że polskie prawo nie chroni obecnych właścicieli majątków, nazwijmy je, ponemieckich przed roszczeniami spadkobierców warmińsko-mazurskich autochtonów.

Najbardziej jaskrawym przykładem drogi działania obywateli Niemiec jest tzw. sprawa Nart w gm. Jedwabno, gdzie cztery polskie rodziny straciły dach nad głową. I trzeba tu wyraźnie zaznaczyć, że o majątki ubie-

Heimat nur für Oma?



Mehr als 800 Jahre wurde Ostpreußen von unseren Vorfahren zu einer einzigartigen Kulturlandschaft aufgebaut. Dieses Erbe ist uns zu wichtig, um es in Vergessenheit geraten zu lassen. Ostpreußen lebt weiter mit uns - dem!

Bund Junges Ostpreußen!

Unsere Anschrift:

Bund Junges Ostpreußen
in der Landsmannschaft Ostpreußen
 Parkallee 84-86; D-20144 Hamburg
 Tel.: 040 / 41 40 08 - 0

www.ostpreussen-info.de

„Heimat tylko dla babci?” ulotka Związku Młodych Prus Wschodnich zachęcająca młodszych członków do aktywności. Ze zbiorów B. Rogalskiego.

gają się nie nieznani nikomu Niemcy, lecz najczęściej ludzie, którzy w Polsce spędzili dzieciństwo. Wywłaszczeni dzisiaj mieszkańcy domu, którym od niemal 30-tu lat zarządzali i który remontowali z prywatnych pieniędzy opowiadają, że już pod koniec lat 90-tych Agnes Trawny, która w Nartach się wychowywała, wynajęła domek i spacerowała po okolicy. Robiła zdjęcia, rozmawiała z ludźmi jak dobry przyjaciel. Niektórzy z nich, tak jak Władysław Głowacki, dzisiaj także zmuszony do opuszczenia swojego domu, chodzili z nią do szkoły. Na przełomie lat 2003 i 2004 okazało się, że te spacerowały swoją przyczynę. W kwietniu 2004 r. zapadł wyrok pierwszej instancji (Sąd Rejonowy w Szczytnie) w sprawie z powództwa Agnes Trawny o uzgodnienie treści księgi wieczystej z rzeczywistym stanem prawnym w ten sposób, aby wpisać powódkę jako właściciela kilkunastu działek ziemskich na łączną powierzchnię ok. 50 ha, wraz z zabudowaniami. Sprawę wygrała. Sąd powództwo uwzględnił. O wygranej zdecydowała „nadgorliwość” urzędników państwowych i „dziura” w polskim prawie.

W 1954 r. zmarł Emil Rogalla, ojciec Agnes Trawny. Rdzenny Mazur, który po II wojnie światowej zadeklarował narodowość polską i zachował majątek o powierzchni ok. 100 ha. Umową zawartą w 1970 r. Agnes Trawny stała się spadkobierczynią gospodarstwa o łącznej powierzchni 59, 12 ha. Nie chciała jednak mieszkać w Polsce. Od połowy lat 60-tych starała się o zezwolenie na wyjazd do Niemiec, a w 1973 r. zwróciła się do Rady Państwa o zezwolenie na zmianę obywatelstwa na niemieckie. W 1977 r. wyjechała, nie rozporządziwszy uprzednio gospodarstwem. Po trzech miesiącach od jej wyjazdu Naczelnik Gminy Jedwabno stwierdził, że na podstawie art. 38 ust. 3 ustawy z dnia 14 lipca 1961 r. O gospodarce terenami w miastach i osiedlach, właścicielem nieruchomości jest już Skarb Państwa (w zapisie artykułu czytamy: „nieruchomości stanowiące zgodnie z art.2 ust. 1 lit. b) dekretu z dn. 08.03. 1946 r. o majątkach opuszczonych i ponemieckich własności osób, którym wobec uzyskania przez nie stwierdzenia narodowości polskiej służyło obywatelstwo polskie, przechodzą z samego prawa na własność Państwa, jeżeli osoby te w związku z wyjazdem z kraju utraciły lub utracą obywatelstwo polskie. Osoby te tracą prawo rozporządzania nieruchomością z dniem, w którym złożyły właściwym organom polskim dowód osobisty i otrzymały dokument podróży uprawniający do wyjazdu za grani-

cę”). W 1999 r. założono odpowiednią księgę wieczystą i jako właściciela wpisano w niej Skarb Państwa.

I wszystko byłoby jasne gdyby Agnes Trawny nie dowiodła, że przejęcie nastąpiło niezgodnie z prawem. Sąd pierwszej instancji stwierdził bowiem, że zastosowanie artykułu, na który powołał się Naczelnik wymagało spełnienia trzech przesłanek: 1. Agnes Trawny musiała być właścicielką gospodarstwa od 01.01.1945r., 2. musiała uzyskać stwierdzenie narodowości polskiej, a następnie 3. obywatelstwo to utracić w związku z wyjazdem z kraju. Oczywiście było, że nie spełnia pierwszego warunku.

Sąd Okręgowy w Olsztynie, po apelacji Nadleśnictwa Szczytno, pozew Trawny odrzucił. Do Sądu Najwyższego apelację wniosła z kolei Agnes Trawny i ten wyrokiem z dn. 13 grudnia 2005 r. przyznał jej rację.

Zaiste niezrozumiałe to działanie, bowiem w uzasadnieniu wyroku SN czytamy o wahaniach wokół problemu, który „w orzecznictwie SN już się pojawił”. Z jednej strony Sąd stwierdza, że „przepis art. 38 ust. 3 dotyczy również wypadku, gdy osobie takiej przysługuje udział w spadku, w skład którego wchodzi nieruchomości (...).” Uzasadniając ten pogląd SN stwierdził uprzednio, że spadek stanowi ogół praw



Sprawa roszczeń Niemców spotkała się z zainteresowaniem czasopism. Okładka tygodnika Angora, nr. 25/2007.

i obowiązków zmarłego, a więc także spadkobiercę obejmuje rzeczony artykuł. Z drugiej strony, sędziowie przywołują argumentację szczycieńskiego Sądu Rejonowego. I to ten pogląd ostatecznie bierze górę. W uzasadnieniu wyroku sądu (Sygn. Akt IV CK 304/05) czytamy: „(...) utrata własności nieruchomości, o której stanowi art. 38 ust. 3 ustawy z dnia 14 lipca 1961 r. O gospodarce terenami w miastach i osiedlach (Dz.U. z 1969 r. Nr 22, poz. 139 ze zm.) dotyczy jedynie tych osób, które po stwierdzeniu ich narodowości polskiej i uzyskaniu obywatelstwa polskiego zachowały własność nieruchomości należących do nich przed 1 stycznia 1945 r., a następnie w związku z wyjazdem z kraju utraciły obywatelstwo polskie; nie dotyczy to następców prawnych tych osób. Takim następcą prawnym jest powódka, a więc zastosowanie wobec niej art. 38 ust. 3 ustawy nie było uprawnione.” Mieszkańcy muszą dom opuścić do końca 2008 r. i nikt nie przejmuje się ich losem.

Tę samą drogę obrał Horst Rogalla, brat Agnes Trawny, który odzyskał już, także mocą wyroku SN, ponad 17 ha ziemi w gm. Jedwabno. Co gorsza, według danych Wydziału Infrastruktury i Geodezji Warmińsko-Mazurskiego Urzędu Wojewódzkiego w Olsztynie ich śladem idą kolejni. Zaskarżanie tego typu przejęcia nieruchomości mamy m.in. w gm. Świętajno, gm. Nidzica, gm. Olsztyn czy Dobrze Miasto. Obywatele Niemiec znaleźli „bramkę” w polskim prawie, z której skwapliwie korzystają.

To jednak nie koniec przegranych spraw roszczeniowych na Warmii i Mazurach. W Zdorach gm. Pisz od niemal 30-tu lat w domu po właścicielach, którzy wyjechali do Niemiec mieszka rodzina Olender. Opowiadają, że kiedy właścicielka Adela Doroch wyjeżdżała z rodziną do Niemiec podpisała z Marianną Olender umowę, na mocy której miała ona rozporządzać nieruchomością jak swoją. Wzajemne stosunki układały się świetnie. Państwo Dorochowie dzwonili, przysyłać paczki. Zapewniali, że nigdy do Polski nie wrócą. Sytuacja się zmieniła, kiedy zmarli. W 2001 r. zjawił się Walter Doroch, syn byłych właścicieli i zażądał zwrotu ponad 10 ha gospodarstwa z zabudowaniami. Dowiódł przed sądem, że umowa, którą spisali w obecności sołtysa państwo Doroch i państwo Olender nie ma mocy prawnej. Nie pomogły starania Marianny Olender o przyznanie jej własności do spornej ziemi przez zasiedzenie. Sąd Rejonowy w Piszcu odrzucił jej wniosek, w uzasadnieniu podając, że „obejmując w posia-



Okładka Niezależnej Gazety Polskiej, nr. 5(15)/2007.

danie przedmiotowe gospodarstwo Marianna Olender była w złej wierze i dlatego nie ma wymaganego ustawą okresu nabycia własności (30 lat)”. Jako dowód złej wiary, sąd przywołał brak aktu notarialnego określającego własność. Efektem dość długiej drogi prawnej jest wezwanie do opuszczenia nieruchomości, wystosowane przez Waltera Dorocha. Czytamy w nim: „Proszę o zastosowanie się do wezwania w nieprzekraczalnym terminie do 15 maja 2006 r. W wypadku dalszej zwłoki w realizacji wskazanego orzeczenia Sądu Walter Doroch zmuszony będzie do realizacji wyroku w drodze postępowania egzekucyjnego za pośrednictwem Komornika przy Sądzie Rejonowym w Piszcu.”

Polską rodzinę ratuje, tymczasowo, fakt, że w polskim prawie nie istnieje pojęcie „eksmisji na bruk” a mająca zapewnić im lokal socjalny gmina Pisz, takich nie posiada. Jednak, jak długo jeszcze?

To najbardziej jaskrawe przykłady, przegranych już sporów o polskie nieruchomości. W toku jest jednak inna. Sprawa olsztyńskiego osiedla Dajtki. W latach 90-tych ub. wieku powstało tam osiedle składające się ze 116 domków jednorodzinnych. Ludzie

w dobrej wierze wykupili od miasta grunty i wybudowali na nich domy. O „swoje” upomniał się jednak Alfred Skibowski, obywatel Niemiec, próbując udowodnić, że osiedle powstało na terenie nieprawnie przejętego przez Skarb Państwa gospodarstwa rolnego należącego do jego ojca. Wyjechał do Niemiec przed ponad ćwierćwieczem, w Polsce zostawił dobrowolnie ziemię. Mało tego, w Niemczech otrzymał za nią rekompensatę, a w Polsce odszkodowanie. Jednak miejscy urzędnicy nie zmienili właściciela gruntu i w księgach wieczystych nadal figurował Jan Skibowski, ojciec Alfreda. Błąd naprawiono, ale do olsztyńskiego Samorządowego Kolegium Odwoławczego wpłynęło 120 wniosków o stwierdzenie nieważności decyzji o przejęciu gruntów, autorstwa Alfreda Skibowskiego. Podczas ostatniej rozprawy, przed olsztyńskim Sądem Rejonowym (w marcu 2007 r.) sąd stwierdził, że Alfred Skibowski „nie posiada legitymacji prawnej do ubiegania się o nieruchomość”. Na mocy umowy spadkowej bowiem spadkobiercą po Janie Skibowskim był jego wuj, nie on. Alfred Skibowski odgraża się jednak, że to nie koniec i nadal nęka pismami przedprocesowymi mieszkańców olsztyńskiego osiedla, którzy dla skuteczniejszej przed jego roszczeniami obrony założyli pod moim patronatem stowarzyszenie „Nasze Dajtki”.

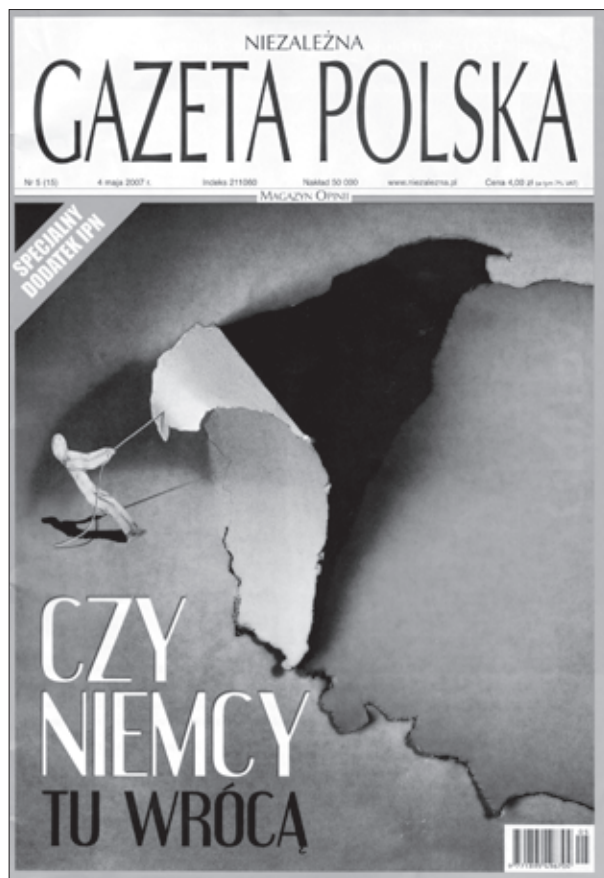
Jak wynika z powyższych przykładów, o ziemię w Polsce ubiega się pokolenie dzisiejszych pięćdziesięcio- i sześćdziesięcioletków, spadkobierców autochtonów. To ludzie, którzy uciekali z Polski na zachód wierząc, że tam jest ich przyszłość. Dzisiaj przypominają sobie o pozostawionych tu majątkach i odrzuconym przed laty obywatelstwie. Trzeba bowiem zaznaczyć, że wszyscy ci „roszczeniowcy” posiadają obywatelstwo tylko niemieckie. A spraw z ich powództwa jest w regionie niemało. Sąd Okręgowy w Olsztynie i podległych mu sądach odnotował ich 12, Samorządowe Kolegium Odwoławcze w Olsztynie 130. To te w toku lub już zakończone. Jednak np. Agencja Nieruchomości Rolnych oddz. w Olsztynie podaje 12 wniosków roszczeniowych. Jeden z nich dotyczy ogromnego majątku ziemskiego w Gwiździnach gm. Nowe Miasto Lubawskie, o powierzchni ponad 500 ha! Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Olsztynie alarmuje, że w wyniku przeglądu treści ksiąg wieczystych ustaliła 40 roszczeń jej zagrażających na powierzchni 2000 ha lasów! W samym Starostwie Szczytno zakończono lub toczy się obecnie 7 postępowań na łączną powierzchnię niemal 170 ha! Olsz-

tyńskie starostwo ziemskie alarmuje liczbą 11 roszczeń reprivatyzacyjnych z powództwa obywateli Niemiec. To nie są małe liczby.

A kolejnych pięć pozwów złożyli w europejskim Trybunale Praw Człowieka w Strasburgu tzw. przesiedleńcy popoczdamscy. Dotyczą one aż sześciu ulic Lidzbarka Warmińskiego, m. in. ul. Warszawskiej, ul. Grabowskiego, ul. Wierzbickiego i ul. Bartoszyckiej oraz budynków w centrum Olecka i Elku.

Pojawił się też pozew precedensowy. Wspomniana wcześniej Agnes Trawny, która odzyskała ponad 50 ha ziemi złożyła 19 stycznia 2007 r. pozew o odszkodowanie za mienie zbyte przez gminę Jedwabno. Powołując się w nim na korzystne dla niej rozstrzygnięcie Sądu Najwyższego żąda wypłaty (bagatela!) 2, 591 mln. zł. odszkodowania za mienie, które przeszło w ręce prywatne. Roczny budżet gminy Jedwabno wynosi ok. 2 mln. zł. Sąd Okręgowy wniosek przyjął, ale rozprawę odroczył.

Powyższe dane ilustrują obraz dość ponury. Warmia i Mazury zagrożone są roszczeniami niemieckimi dość realnie. Nie wszystkie sprawy kończą się



Ilustracja do artykułu K. Grzybowskiej „Drang nach Osten Związek Wypędzonych” Niezależna Gazeta Polska, nr. 5(15)/2007.

w sądach, czy to administracyjnych, czy to cywilnych. Część z nich to dopiero przygotowania do batalii o nieruchomości. Pismo o treści: „Ja Edith Walczak, z domu Popielarski (...) wraz z mężem chcemy powrócić i zakończyć życie w miejscu urodzenia we wsi Jaśkowo nr domu 20. (...) Zwracamy się do Pana Panie Starosto o poinformowanie nas jakie mamy podjąć kroki by fizycznie przejąć ten spadek po Rodzicach i zamieszkać w Jaśkowie, w miejscu urodzenia, z którym nadal jesteśmy bardzo związani” (pismo do Starostwa Powiatowego w Piszcu, z dn. 19 lutego 2007 r.) jest i będzie coraz więcej.

Dlatego jak najszybciej powinno zostać uchwalone nowe prawo, zakazujące roszczeń majątkowych do ziemi, którą ktoś dobrowolnie porzucił. Polska powinna chronić swoich obywateli, tymczasem wszyscy z poszkodowanych zgodnym głosem twierdzą, że polskie sądy stają po stronie obcokrajowców. Polacy muszą w Polsce czuć się bezpieczni na tyle, aby nie poja-

wiały się opinie jak ta, zawarta w uzasadnieniu odwołania, jakie złożyła Marianna Olender do Sądu Okręgowego w Olsztynie, w którym czytamy: „Reasumując należy stwierdzić, że interes obywateli polskich i Rzeczypospolitej polega na tym, by nie zapadały orzeczenia tego rodzaju, jakie wydał SR w Piszcu. Trudno sobie wyobrazić, by kanclerz Republiki Federalnej Niemiec był lepszym rzecznikiem interesu Polaków niż Sąd polski, orzekający w imieniu Rzeczypospolitej, kiedy stwierdził, że rząd Niemiec nie będzie popierał swoich obywateli żądających zwrotu nieruchomości pozostawionych w Polsce.”

I nie ludźmy się, że – jak twierdzą niektórzy z obserwujących problem roszczeń niemieckich – obywatele Niemiec odzyskują „swoje” nieruchomości w Polsce po to, by wrócić w strony rodzinne. Agnes Trawny już zbyła dwie działki odzyskanej ziemi. Obie za duże pieniądze. Oni nie wracają tu by mieszkać, ale by na tej ziemi szybko zarobić.

MARCIN TUJDOWSKI

Krajobraz po bazach

Początek lat dziewięćdziesiątych XX w. to okres wielkich przemian ustrojowych w Europie Środkowej. Państwa tego regionu właśnie uwalniały się spod jarzma komunizmu. W efekcie upadku ustrojów „demokracji ludowej” i zbliżającego się rozpadu sowieckiego imperium obszary leżące dotąd za „żelazną kurtyną” wyzwoliły się spod sowieckiej kurateli. W związku z powyższym obecność wojsk radzieckich w tych krajach stała się co najmniej niepożądana.

Bazy radzieckie w Polsce wchodziły w skład II Północnej Grupy Wojsk Radzieckich (PGWR). Garnizony PGWR powstawały w Polsce dosyć wcześnie, bo już od czerwca 1945 r. Za podstawę dla tej grupy wojsk posłużył 2 Front Białoruski, którego wojska zostały w Polsce po działaniach wojennych¹. Pierwszym dowódcą Północnej Grupy Wojsk został niesławny marszałek Konstanty Rokossowski, w oficjalnej propagandzie kreowany ze względu na polskie pochodzenie niemalże na narodowego marszałka. Obecność tych wojsk jednoznacznie oznaczała brak suwerenności

Polski, a strona radziecka nawet nie dbała o pozory równego traktowania, dlatego często przejmowanie jednostek odbywało się w skandalicznych okolicznościach. Pierwotnie siedzibą Północnej Grupy Wojsk miał być bliżej nieokreślony garnizon w Polsce zachodniej, prawdopodobnie na Pomorzu Zachodnim². Jednak w lipcu 1945 r. Rosjanie wybrali Legnicę. Nie przypadkowo, albowiem Legnica już przed wojną była miastem obwarowanym koszarami. Ułożenie terenów wojskowych w mieście i na obrzeżach, przy drogach wylotowych, było takie, że w razie potrzeby Legnica szybko mogła stać się miastem-twierdzą. Legnica w zasadzie nie ucierpiała w wyniku działań wojennych, w mieście stały nietknięte fabryki, warsztaty, podobnie jak cała miejska infrastruktura (największych zniszczeń dokonali sami Rosjanie podpalając w maju 1945 r. część Starego Miasta i zamek). Wokół miasta Rosjanie przejęli dodatkowo wiele majątków ziemskich, co zapewniało im aprowizację. W lipcu 1945 r. szef Sztabu PGWR gen. Subotin po prostu zakomuni-

kował dolnośląskiemu przedstawicielowi rządu, że Polacy (mieszkańcy jak i urzędy) mają opuścić najbogatszą część miasta, która zostanie przekazana Armii Radzieckiej. Skalę tej operacji można sobie wyobrazić w pełni dopiero wtedy, jeśli uwzględni się, że Legnica wówczas praktycznie pełniła rolę stolicy województwa, ponieważ Wrocław leżał w gruzach, i to w Legnicy tymczasowo skupiała się dolnośląska administracja.

Zgodnie z pierwotnymi ustaleniami Polacy wyprzedzający się z tej części miasta, w sumie stanowiącej 1/3 powierzchni Legnicy, mieli prawo do zabrania majątku własnego oraz urzędów. W rzeczywistości zostali obrabowani przez żołnierzy radzieckich podczas przeprowadzki i w ten sposób utracili niedawno pozyskane mienie ponemieckie. Legnica polskich osadników podnosiła się z trudem, ponieważ Rosjanie nie tylko rozszabrowali wszystko, co przedstawiało dla nich jakąkolwiek wartość, ale po stronie rosyjskiej miasta pozostały ważniejsze dla miasta gmachy i urzędy (szpitale, gazownia, wodociągi, szkoły, teatr, kino, magazyny pełne zapasów, piekarnia, rzeźnia, majątki rolne dostarczające żywność itd.), do których Polacy nie mieli dostępu³. W latach późniejszych część udało się odzyskać od strony rosyjskiej, ale zazwyczaj nie za darmo a w zamian za inne świadczenia (np. budynek za budynek). Jakby tego było mało, Rosjanie obciążali stronę polską opłatami za dostarczanie prądu i wody (po przejściu tych urzędów Polacy w ramach zadłużenia musieli świadczyć

te usługi Rosjanom nieodpłatnie). Niemniej na wczesnym etapie zasiedlania miasta stawało to polskich mieszkańców i polską administrację w trudnej sytuacji. Sytuację komplikowały liczne mordy, gwałty i kradzieże, których dokonywali radzieccy żołnierze (okres 1945-47) oraz wyraźnie lepsze traktowanie Niemców przez Rosjan. A to wynikało z tego, że w Legnicy długo pozostawali Niemcy, zatrudniani przez Armię Radziecką jako fachowcy do obsługi urzędów miejskich. W 1946 r. struktura narodowościowa w Legnicy wyglądała następująco: 60 tys. Rosjan; 16,7 tys. Polaków i 12,8 tys. Niemców⁴. Dzielnica radziecka była oddzielona od reszty miasta murem, stąd potocznie nazywano ją „Kwadratem”⁵. Legnicka siedziba PGWR odgrywała istotną rolę w działaniach sowieckich wojsk w Europie Środkowej. W 1968 r. tutaj, w siedzibie sztabu zapadały techniczne decyzje co do agresji na Czechosłowację i stąd wyjeżdżały radzieckie oddziały. Wtedy też to właśnie w Legnicy, po niepowodzeniu Praskiej Wiosny, był internowany Aleksander Dubczek.

Ogółem Armia Radziecka dysponowała w Polsce 59 garnizonami⁶. W 1945 r. i później najchętniej zajmowano dawne niemieckie miasteczka garnizonowe na Ziemiach Zachodnich i Północnych ze względu na ich dobrą infrastrukturę (gotowe koszary, poligony, warsztaty, hangary, lotniska itd.). Innym ważnym czynnikiem była niewielka odległość baz w zachodniej Polsce do NRD, gdzie stacjonowały również znaczne siły radzieckie. Były to oczywiście obszary eksteryto-

Podczele. W architekturze widać kolejne warstwy osadnicze: na pierwszym planie współczesny blok, na drugim planie - poradziecki, w tle - ponemiecki budynek koszarowy.
Fot. M. Tujdowski (2007)





Kłomino (Gródek).
Przykład nieudanej
adaptacji bazy do funkcji
miasta. Obecnie
pochłaniane przez las.
Fot. M. Tujdowski (2007).

rialne, a więc wyłączone z polskiej jurysdykcji oraz spod jakiegokolwiek polskiej kontroli. Dodatkowo na stronę polską przerzucano rozmaite koszty, np. wybudowanie i utrzymanie infrastruktury istniejącej poza bazami, a z której także korzystała Armia Radziecka (drogi, tory, mosty itp). Te samodzielne garnizony były zwane w radzieckiej nomenklaturze ZATO (*Zakrytyje administratiwno-territorialnyje obrazowania*⁷) i był to wzór znany ze Związku Radzieckiego, gdzie tajne osiedla związane z garnizonami wojskowymi, wywiadem, przemysłem zbrojeniowym, kosmonautyką oraz przemysłem jądrowym były na porządku dziennym.

Większość z tych baz dopiero po 1992 r. trafiła w polskie ręce⁸. W latach dziewięćdziesiątych XX w. w związku z opuszczeniem przez Armię Radziecką garnizonów w Polsce i zniesieniem ich eksterytorialnego statusu, administracji polskiej przybyło de facto 70.5 tys. hektarów.

Warto przypomnieć przypadek miasteczka Pstrąże (niem. Pstransee, potem przemianowane na Neuhammer Ostlager). Miasteczko garnizonowe zostało w 1945 r. zajęte przez Rosjan, którzy zamknęli je, wysadzili w powietrze most na rzece Bóbr, którym do miasta dostawali się polscy szabrownicy. Pstrąże zostało typowym radzieckim miastem zamkniętym, jednocześnie był to największy radziecki obiekt w Polsce (ok. 10 tys. żołnierzy i ich rodzin). Przejęte przez Polaków w 1992 r., przeciwieństwo do sąsiedniego Świętoszowa, nie zostało udostępnione cywilom a zostało przekształcone w poligon do ćwiczenia walk miejskich.

Najbardziej znanym takim ośrodkiem, prawdziwą ikoną osiedli poradzieckich w Polsce jest Borne Suli-

nowo. Tej miejscowości poświęcono wiele artykułów i jest ona w miarę dobrze poznana, dlatego chciałbym się skupić na mniej znanych ośrodkach: Kęszycy Leśnej i Podczelu⁹.

Kęszycza Leśna, położona koło Miedzyrzecza to dawna baza Regenwurmlager, która powstała w latach trzydziestych XX w. na fali niezadowolenia Niemców z postanowień Traktatu Wersalskiego. Umieszczenie garnizonu, jak i nieodległego Oder-Warthe-Bogen (dzisiejszy Międzyrzecki Rejon Umocniony) oczywiście miało logiczny związek z przebiegającą wówczas kilkadziesiąt kilometrów dalej granicą z Polską. Niektórzy polscy badacze wywodzą nazwę Regenwurmlager (dosłownie: baza dżdżownicy) od budowy umocnień pobliskiego Międzyrzeckiego Rejonu Ubezpieczonego, gdzie podziemne tunele budowano metodą rozpychania ziemi. Ale jednak bardziej prawdopodobne jest pochodzenie od nazwy własnej pobliskiego strumienia, właśnie Regenwurm. W lesie, nad sztucznie spiętrzoną jezioro Niemcy wybudowali koszary. Garnizon w Regenwurmlager miał swój bliźniaczy odpowiednik, oddalony o kilka kilometrów, tak samo położony nad jeziorem garnizon Tiborlager. Te drugie koszary również zostały zwolnione przez Ludowe Wojsko Polskie w latach pięćdziesiątych, a w 1958 r. wykorzystano specyficzną zabudowę koszarową oraz izolację leśnego garnizonu i utworzono szpital dla nerwowo i psychicznie chorych, istniejący do dzisiaj (polska nazwa: Cibórz). W obu jednostkach, tj. w Kęszycy Leśnej i Ciborzu, stacjonowała niemiecka 50 Dywizja Piechoty (122 Regiment Piechoty).



Borne Sulinowo. Głaz z okolicznościową tablicą. Fot. Zb. Mazur (2001)

Niemiecka baza w Kęszycy Leśnej ma jednak w swojej historii jeden bardzo ciekawy epizod. Tutaj specjalne szkolenie przechodzili azjatyccy sojusznicy Hitlera: Hindusi, Azerowie, Tadźcy, Persowie i Uzbekowie. Te egzotyczne armie miały spleść swoją walkę o wolność z nazistowskimi planami podbicia Środkowej i Południowej Azji. Szczególnie Hindusi stali się obiektem niemieckich zabiegów. Wizja olbrzymiego terytorium subkontynentu indyjskiego, z rynkiem milionów odbiorców, pełnego surowców była bardzo kusząca dla Niemców. Tym bardziej, że III Rzesza walczyła ze wspólnym wrogiem Hindusów czyli z Anglikami i na początku lat czterdziestych XX w. wydawała się potęgą nie do pokonania. Dodatkowym

czynnikiem był fakt, że Japonia była sojusznikiem Niemiec i także popierała niepodległość Hindusów. Także w warstwie symboli Niemcy zyskali sympatię w południowej Azji, wszak swastyka była tam kojarzona z symbolem słońca i powszechnie używana. Od 1941 r. w Berlinie rezydował Subhas Czandra Bose, znaczący działacz hinduskiego ruchu niepodległościowego, który po ucieczce z angielskiego więzienia w Afganistanie przedostał się do Europy z włoskim paszportem. Efektem jego współpracy z Niemcami było powołanie ruchu Wolnych Indii (Azad Hind) oraz tworzenie Indyjskiej Armii Wyzwoleńczej¹⁰. Było to możliwe dzięki masowemu wypuszczaniu z niemieckich obozów jeńców wojennych z niemieckich obozów jeńców wojennych hinduskiego pochodzenia. To oni utworzyli dwutysięczną armię Hindusów sprzymierzonych z Niemcami; dodatkowo z japońskich obozów zwolniono dalsze 10 tysięcy Hindusów. Żołnierze hinduscy zostali wyposażeni i wyszkoleni przez Wehrmacht, w ramach pożyczki wojennej, którą miały spłacić po wojnie wyzwolone Indie. Hindusi zachowali formalną odrębność od Wehrmachtu i mieli walczyć tylko z Brytyjczykami.

Hindusów szkolono w Saksonii, ale część z nich przewieziono i szkolono w dzisiejszej Kęszycy Leśnej. W tej bazie uczono ich, i innych azjatyckich żołnierzy, akcji dywersyjnych i zadań specjalnych. Jest to mało znany rozdział historii dawnych baz niemieckich w Polsce, o tyle ciekawy, że świadkowie do niedawna jeszcze żyli w Indiach i wspominali pobyt w Regenwurm-Kęszycy Leśnej¹¹. Tym samym to czwarta armia (po niemieckiej, polskiej i radzieckiej), która wpięła się w historię tej bazy.



Borne Sulinowo. Budynek strażnicy i zabawa z historią. Przy dacie 1934-45 stoi pruski żołnierz z czasów I Wojny Światowej. Fot. Zb. Mazur (2001)



Borne Sulinowo. Upamiętnienie. Fot. Zb. Mazur (2001)

W 1945 r. olbrzymi ufortyfikowany obszar Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego został zdobyty stosunkowo niewielkim, jak na potencjał obronny umocnień, nakładem sił. Leśne bazy w Kęszycy Leśnej i Ciborzu pozostały opustoszałe. Odmienność Regenwurmlager–Kęszycy Leśnej polega na tym, że w 1945 r. jednostkę przejęło wojsko polskie i była ona w polskich rękach aż do 1956 r.. Dopiero wtedy leśny garnizon przekazano Armii Radzieckiej. Rosjanie zainstalowali tutaj m.in Frontową Brygadę Łączności Dalekosiężnej. Pozostałością po tej jednostce jest pomnik radzieckiego łącznościowca, o czym mowa będzie dalej.

Poniemiecka baza Luftwaffe w podkołobrzeskim Bagiczu spełniała znakomicie wymogi radzieckiego ZATO. Oddalona od miasta o 8 km., otoczona lasem i morzem, praktycznie była niewidoczna z zewnątrz. Do lat trzydziestych XX w. mała wioska Bogensee była naturalnym miejscem wypoczynku kuracjuszy i mieszkańców Kołobrzegu. W 1935 r. teren został zajęty przez wojsko, mieszkańcom udało się wmówić, że w tym miejscu powstanie fabryka proszku do prania. W 1945 r. bazę zdobyły wojska radzieckie, o Podczelu, podobnie jak o inne miasteczka garnizonowe nie toczyły się walki (załoga bazy w Podczelu została włączona do obrony Kołobrzegu)¹². Po wojnie stacjonowały tutaj radzieckie pułki lotnicze: myśliwców, następnie śmigłowców¹³. Stąd lotnictwo radzieckie kontrolowało przestrzeń powietrzną nad Bałtykiem. Wydaje się, że znaczenie miała także możliwość kontroli tras komunikacyjnych na duńską wyspę Bornholm i stąd w miarę szybko można było wszczynać pościgi¹⁴. Rosjanie opuścili bazę 28 maja 1992 roku¹⁵. Interesujące, że tego dnia w 2002 r. w „Gazecie Kołobrzesckiej” ukazał się artykuł upamiętniający 10 rocznicę „przyłączenia do Polski”¹⁶.

Dawne bazy nie nadawały się do natychmiastowego zasiedlenia. Osiedla te były zazwyczaj w fatalnej kondycji, ze zniszczoną infrastrukturą, ekologicznie zanieczyszczone (tutaj zwłaszcza częste skażenie wywołane otwieraniem przez Rosjan przed wyjazdem zbiorników paliw, których nie mogli zabrać). Dodatkowo dochodziło zagrożenie związane z niewybuchami. W 1995 r. uruchomiono Strategiczny Program Rządowy do spraw Zagospodarowania Mienia Przejętego od Wojsk Federacji Rosyjskiej, którego celem było usprawnienie procesu przywracania do użyteczności osiedli pobazowych ze środków rezerwy budżetowej. Od roku 2001 uruchomiono dalszy program „Zagospodarowanie przejętego mienia i rekultywacja terenów zdegradowanych przez wojska Federacji Rosyjskiej”.

Robert Park, znany przedstawiciel chicagowskiej szkoły socjologii przypisywał dużą wagę homogenicznym skupiskom jako bazie dla harmonijnych więzi sąsiedzkich¹⁷. Taka homogeniczność powstaje w wyniku długotrwałego zamieszkiwania danego miejsca przez pewną społeczność, wrastania w nią przez kolejne pokolenia, przekształcania jej oraz innych podobnych procesów. Park takie tworzenie się wspólnot podobnych (*similar*) wywodził z procesów ekologicznych, tzn. podobne czynniki ekologiczne wywierające presję na dane społeczności spowodują powstanie wspólnot ludzi o zbliżonym społecznym profilu.

W przypadku baz poradzieckich zachodzi pytanie, czy była szansa na wytworzenie homogenicznych więzi na etapie zasiedlania. W tym miejscu trzeba pamiętać, że te wspólnoty były tworzone sztucznie i to w bardzo krótkim okresie czasu (z oczywistych względów bez wielowiekowego narastania typowe-



Podczele, skrzyżowanie ulic o charakterystycznych dla osiedla nazwach. Fot. M. Tujdowski (2007)

go dla historycznie wytworzonych osiedli). W krótkim czasie do dawnych baz zjeżdżali bardzo różni ludzie, którzy tak samo szybko stawali się sąsiadami. Pod tym względem zasiedlanie osiedli po bazach przypominało zasiedlanie Ziemi Zachodnich i Północnych po wojnie.

Pobazowe miejscowości znacznie się między sobą różnią:

Kęszycza Leśna: wieś (urzęduje sołtys, istnieje Koło Gospodyń Wiejskich, oddział Ochotniczej Straży Pożarnej), ale mimo wiejskiego charakteru nie ma we wsi rolników ani śladów rolniczego trybu życia (obejścia, zagrody ze zwierzętami etc.). Nietypowa dla wsi zabudowa: bloki i „koszarowce” (3 piętrowe, charakterystyczne budynki typowe dla dawnych koszar), nietypowa dla wsi jest też struktura własności – oprócz mieszkań własnościowych też mieszkania komunalne. Kęszycza Leśna to osiedle monofunkcyjne, w zasadzie spełnia tylko rolę sypialni dla Międzyrzecza oraz innych miejscowości, ale w mniejszym stopniu. We wsi brakuje przedszkola, szkoły, kościoła (ale jest prowizoryczna kaplica), miejsc pracy itd. W połączeniu ze wspomnianym brakiem rolnictwa oznacza to, że wieś jest tylko sypialnią i tylko dwie kategorie mieszkańców mogą żyć autonomicznie w Kęszycy Leśnej: emeryci oraz mieszkańcy weekendowi (przy czym ci drudzy przyjeżdżają tylko na pobyt czasowy, więc nie są do końca pełnymi mieszkańcami wsi)

Podczele: specyficzny status administracyjny Podczela polega na tym, że jest to formalnie osiedle w ramach większego miasta Kołobrzegu, ale bez faktycznej łączności terytorialnej z tym miastem. Podczele jest oddalone od Kołobrzegu o ok. 8 km, jako enklawa otoczona lasami i bagnami oraz byłymi terenami popoligonowymi i morzem. W Podczelu funkcjonuje Rada Osiedla. Osiedle spełnia charakter ograniczonego polifunkcjonalizmu, tj. istnieje szkoła, sklepy, poczta, kościół, ale poza lokalnymi drobnymi usługodawcami nie ma większego pracodawcy w miejscowości.

Legnica: sytuacja jest tu jeszcze inna, ponieważ dawna radziecka dzielnica zwana „Kwadratem” lub „Małą Moskwą” została włączona do miasta, ale nie jako wydzielona administracyjnie całość. „Kwadrat” stał się częścią dzielnicy Tarninów. Dzisiaj jest zrosnięty z dużym organizmem miejskim, więc trudniej tutaj wychwycić specyfikę osiedla.

W kontekście tych miejsc tylko nadmienię o najbardziej znanym Bornem Sulinowie. To miasto, siedziba lokalnych władz samorządowych (siedziba gminy); miasto polifunkcjonalne z ograniczoną funkcją rynku pracy: funkcjonują szkoły różnych szczebli, kościół, cmentarz, ale brakuje podmiotów zapewniających zatrudnienie na większą skalę.

Wymienione osiedla łączy przede wszystkim atmosfera tajemnicy związana z wojskową przeszłością i statusem tajności, jak i tym, że są to osiedla w zasadzie od niedawna pod polską jurysdykcją i na polskim terytorium (radzieckie bazy miały status eks-terytorialny). Osiedla te są także izolowane geograficznie (poza Legnicą), z dala od innych miejscowości, otoczone lasami. Co się z tym wiąże, te miejscowości mają potencjalne walory turystyczne: lasy, wyizolowanie od cywilizacji, jeziora (Kęszycza Leśna, Borne Sulinowo) lub morze (Podczele), ewentualnie parki i dzielnica willowa (legnicki „Kwadrat”).

W przypadku Kęszycy Leśnej miała miejsce niezbyt szczęśliwa lokacja zakładu przemysłowego, tj. wytwórni masy bitumicznej. Ze względu na wybitnie uciążliwy dla środowiska profil takiej produkcji, charakter wsi uległ drastycznej zmianie, bo miejscowość w pewnym stopniu utraciła walory turystyczne i szansę na ten kierunek rozwoju. Zazwyczaj lokowanie wytwórni mas bitumicznych, ze względu na ich uciążliwość powoduje gwałtowne protesty mieszkańców¹⁸. W Kęszycy Leśnej jednak tak się nie stało. Często wskazuje się, że obecność takich ruchów protestu jest wyznacznikiem istnienia świadomej społeczności lokalnej. Amerykanie są niezrównani w wymyślaniu akronimów na oznaczenie różnych zjawisk społecznych, tworzonych (akronimów, nie zjawisk) z przyrmużeniem oka i bez naukowego zadęcia. Tak jest też w tym wypadku. Wyróżnia się zatem takie postawy protestujących mieszkańców: NIMBO („*not in my backyard only*” - „byle tylko nie koło mojego domu”, tutaj szereg wariantów pochodnych typu NIMD, NIMFOS); LULU („*locally unwanted/undesired land uses*” - „wykorzystanie terenu niezgodne z wolą społeczności lokalnej”); czy też QUIMBY („*quit urbanizing in my backyard*” - „zakończyć urbanizację w okolicy mojego domu”, postawa typowa dla mieszkańców miasta którzy wyprowadzają się na przedmieścia, gdzie jednocześnie chcieliby korzystać z uroków wiejskiego krajobrazu ale i nie wyrzekać się udogodnień miejskiego stylu życia) i wiele innych. Te postawy są aktywizowa-

Pomnik w Kęszycy Leśnej.
Widok ogólny. Fot. M.
Tujdowski (2007)



ne, kiedy lokalne społeczności stają w obliczu niekorzystnej dla nich inwestycji i są podstawą działań obywatelskich. Tymczasem w Kęszycy Leśnej nie było tego, co może wskazywać na niski poziom aktywności społecznej. Możliwe, że w obliczu tak wysokiego bezrobocia protestowanie przeciwko inwestorowi nie jest dobrze widziane w małej miejscowości¹⁹.

Poznański socjolog F. Zieliński zwrócił uwagę na szatę ideologiczną miasta, tj. pomniki i nazewnictwo ulic. Analogia z szatą jest o tyle uprawniona, że miasto może w pewnych okolicznościach zmienić siatkę

symboli (pomników i ulic) tak, jak się zmienia ubranie zależnie od sytuacji²⁰. W przypadku tych 3 osiedli mamy do czynienia z potrójną zmianą „szaty ideologicznej”. Pierwsza, to nasycenie niemiecką treścią militarną (powstanie baz wojskowych Gross Born, Regenwurmlager i Bogensee). Druga, to przekwalifikowanie w 1945 r. niemieckich baz na radzieckie i związana z tym kolejna zmiana ideologiczna. Rosjanie postawili swoje pomniki, pokryli ściany swoimi hasłami politycznymi. Trzecia zmiana szaty to spolszczanie tych osiedli. Polscy osadnicy budują kaplice,



Pomnik w Kęszycy Leśnej.
Fragment z reliefem. Fot.
M. Tujdowski (2007).



Kęszycy Leśna, pomnik radzieckiego żołnierza jako ołtarz w obchodach Bożego Ciała.
Fot. ze zbiorów Koła Gospodyń Wiejskich w Kęszycy Leśnej.

nadają swoje nazwy ulic (szczególnie interesujące są w tym kontekście nazwy ulic w Podczelu, odwołujące się do nazw miast Kresów II Rzeczypospolitej).

Te osady są również obce mieszkańcom ze względu na krajobraz i całą warstwę infrastrukturalną. Historycznie jesteśmy przyzwyczajeni do miasteczek lokowanych zgodnie z zasadami różnych praw miejskich (w Polsce głównie prawo magdeburskie z jego mutacjami, jak np. prawo średzkie, poznańskie itp.), gdzie w lokacji przyjęto znany nam i uznawany przez nas za harmonijny układ lokacyjny: ratusz, rynek, układ ulic, błonia itp. Z rozwojem historycznym osadnictwa to się zmieniało, ale wciąż w większości miast i miasteczek widać dawny historyczny układ urbanistyczny. Podczas renowacji centrów miast nawet współcześnie, po latach socrealistycznych eksperymentów architektonicznych, wraca się do historycz-



Kęszycy Leśna. Pomnik mniej groźny. Fot. M. Tujdowski (2007)

nego układu miasta (np. odbudowanie centrum Głogowa, Kołobrzegu, Elbląga, planowana odbudowa Kostrzyna nad Odrą). Dlatego miasta pokoszarowe, z dodatkowym filtrem sowieckich bloków z wielkiej płyty, są pod tym względem obce zasiedlającym i stawiają przed nimi wyzwanie co do oswojenia krajobrazu.

Oswajanie owej „szaty ideologicznej” następuje różnymi drogami. Dobrze to widać na przykładzie pomników. W Kęszycy Leśnej pozostał po Armii Radzieckiej pomnik, tak samo monumentalny jak i kontrowersyjny ze względu na warstwę estetyczną (patrz zdjęcie na okładce). Pomnik przedstawia radzieckiego łącznościowca przeciągającego kable na linii frontu. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych na reliefie pomnika, stanowiącym tło dla bryły żołnierza, było widoczne przedstawienie pola bitwy, z czołgami, lotnictwem, eksplozjami itp. Z czasem, wraz z kolejnymi renowacjami pomnika, tło straciło detale. Pomnik jest regularnie odnawiany przez mieszkańców wsi (nieoficjalnym opiekunem pomnika jest miejscowe koło Ochotniczej Straży Pożarnej), ale z każdą renowacją wymowa pomnika była łagodzona. Znikały detale świadczące o radzieckiej proweniencji założenia pomnikowego. Żołnierz radziecki z czasem stał się po prostu „żołnierzem” bliżej nieokreślonej armii. Na pomniku zamieszczono tablicę z kalendarium dziejów wsi. Pomnik wkomponował się w nową szatę ideologiczną Kęszycy Leśnej. Przykładem tego jest wkom-



Podczele, pomnik Lenina, korpus...



...oraz głowa, uratowana przez mieszkańców przed wywiezieniem przez szabrownika.
Fot. M. Tujdowski (2007)

ponowanie go w rok obrzędowy, gdy w czasie Bożego Ciała pomnik żołnierza służy jako jeden z ołtarzy²¹. Pomnik w Kęszycy Leśnej zintegrował mieszkańców, kiedy w maju 2007 r. pojawił się projekt przenoszenia pozostałych w Polsce pomników poradczeckich. Społeczność Kęszycy Leśnej stanęła murem za „swoim” pomnikiem. Miejscowa młodzież zadeklarowała się do pełnienia warty przy pomniku, „na wszelki wypadek”, gdyby ktoś chciał zabrać żołnierza bez zgody mieszkańców²².

W pomorskim Podczelu pozostał pomnik Lenina, ale zdefragmentowany, tzn. korpus wodza rewolu-

cji pozostał na starym miejscu, ale głowa Lenina została zabrana do pobliskiej restauracji (dawnego niemieckiego a potem radzieckiego kasyna). Przy restauracji działa coś na kształt izby historycznej, zorganizowanej zupełnie spontanicznie przez właściciela budynku. Jest to ekspozycja przypadkowych przedmiotów, książek, ubrań, specyficznej sowieckiej sztuki ozdobnej itp., świadczących o wieloletnim pobycie Rosjan w Podczelu. Sala z ekspozycją jest jednocześnie miejscem wszelkich wspólnych imprez mieszkańców. Pomnik Lenina nikomu tutaj nie przeszkadza, może dlatego, że jest to pomnik zdefragmentowany i obie jego części występują niezależnie.

W latach dziwiędziesiątych zasiedlaniu osad towarzyszył entuzjazm i wielkie oczekiwania stworzenia dobrego miejsca do życia. Tymczasem wraz z kolejnymi latami piętrzyły się trudności. Poza problemami czysto strukturalnymi (wspomniany fatalny stan baz zostawianych przez Rosjan), pojawiły się problemy społeczne: brak pracy, słabo zorganizowane społeczności lokalne, brak jasnego kierunku rozwoju miejscowości etc. W przypadku lokalnych rynków pracy rychło okazało się, że izolacja tych dawnych baz, gwarantująca spokój, jednocześnie jest przekleństwem. W Bornem Sulinowie czy Kęszycy nie ma inwestorów gwarantujących miejsca pracy, natomiast dojazdy pochłaniają dużą część domowego budżetu. Borne Sulinowo dodatkowo leży w regionie dotkniętym bardzo wysokim bezrobociem, przez co nawet wyjazd za pracą do sąsiedniego miasta nie rozwiązuje sprawy.

Co do luźnych więzi społecznych, to rozmówcy-mieszkańcy osiedli sami często wskazywali, że jest wyraźny brak poczucia interesu wspólnego, że wciąż są zbyt silne partykularne interesy mieszkańców. Przedstawiciel władz gminy jednego z omawianych osiedli opowiadał autorowi, że wciąż trudno zaktywizować mieszkańców, że każda inicjatywa wymaga odgórnego zarządzenia i przeprowadzenia. Prawdopodobnie jest to wynikiem typowego dla tych osiedli zróżnicowania mieszkańców na stałych i tymczasowych letników. Ci drudzy z kolei jeszcze dzielą się na mieszkańców weekendowych oraz na właścicieli mieszkań, którzy sami nie mieszkają ale tylko wynajmują mieszkania innym. To sprawia, że duża część mieszkańców nie czuje związku z miejscowością ani nie angażuje się w lokalne sprawy²³.

To wszystko sprawia, że formowanie się tych osiedli, mimo upływu 15 lat, jeszcze nie zakończyło się i przed lokalnymi społecznościami wciąż stoją wyzwania. Jest to jednocześnie stosowna okazja dla socjologów, rzadka okazja uchwycenia lokalnych społeczności w trakcie formowania. Podstawowym pytaniem jakie przychodzi na myśl jest kwestia, czy nowe pokolenia zapewnią przyszłość demograficzną miejscowości powstałych w dawnych bazach. Obecnie, zaledwie 15 lat od zasiedlenia, mamy do czynienia głównie z pierwszą grupą osadników. Pytanie, jak będą te miejscowości traktować następne pokolenia, czy w nich zostaną, czy staną się ich małą ojczyzną, z którą będą się utożsamiać niezależnie od rachunku ekonomicznego.

Stawia to jednocześnie przed socjologami wyzwanie, aby ich badania służyły lokalnym władzom i społecznościom, pozwoliły poznać stan faktyczny i posłużyły za punkt wyjścia do działań na rzecz zoptymalizowania kierunku rozwoju tych młodych osad.

¹ M. Golon, II Północna Grupa Wojsk Armii Radzieckiej w Polsce w latach 1945-1956. Okupant w roli sojusznika, Historicus, Toruń, <http://historicus.uni.torun.pl/modules/wfsection/article.php?articleid=12&page=1>

² Ibidem

³ Wiele cennych informacji na temat funkcjonowania radzieckiego garnizonu w Legnicy dostarcza tekst Andrzeja Niedzielenki: Legnica jako ośrodek wojskowy, w: *Legnica, zarys monografii miasta*, Wrocław – Legnica 1998

⁴ A. Niedzielenko, Legnica jako ośrodek, s. 610

⁵ Autor artykułu pamięta, że na początku lat dziewięćdziesiątych na murze, w różnych miejscach były wypisane antyradzieckie hasła, np. „Runął w Berlinie, runie i w Legnicy” albo „Katyń – pomścimy!”.

⁶ Za: Północna Grupa Wojsk Radzieckich w Polsce, artykuł w internecie: poradzieckie.szprotawa.org.pl

⁷ Oryg. „Закрытыя административно-территориальные образования”

⁸ Pierwszy wyjazd Armii Radzieckiej miał miejsce w Nowej Soli, 14 marca 1991 r.

Za: Kalendarium wyjazdu wojsk radzieckich z Polski, <http://poradzieckie.szprotawa.org.pl>.

⁹ Podczele leży w granicach miasta Kołobrzegu, jest też znane w literaturze pod nazwą Bagicz lub Bagicz – Podczele.

¹⁰ Bose pierwotnie zgłosił się do Związku Radzieckiego, ale ten nie był zainteresowany wspieraniem niepodległości Indii.

¹¹ Powojenne losy żołnierzy i dowódców Indyjskiej Armii Wyzwoleńczej były godne pożałowania. Wielu z tych żołnierzy, których koniec wojny zastał w Europie próbowało uciec do Szwajcarii, ale zostali ujęci i rozstrzelani przez Brytyjczyków. Ci z Azji tak samo zostali

potraktowani przez Brytyjczyków jako poddani korony – zdrajcy, w związku z tym pozbawieni praw przysługujących jeńcom wojennym i aż do maja 1946 r. poddawani torturom i wyrokom śmierci w niesławnym Czerwonym Forcie w Delhi. Paradoksalnie, rok później to właśnie z Czerwonego Fortu niepodległość Indii proklamował pierwszy premier Jawaharlal Nehru. W jego rządzie znalazł się również jeden z ministrów tymczasowego nielegalnego rządu Bose. Sam Bose zginął w wypadku lotniczym pod koniec wojny na Tajwanie, ale niektórzy Hindusi nie uznają tego faktu, obdarzając Bosego czcią świętego.

¹² Dobrym źródłem informacji o historii Podczela są publikacje historyka dra Hieronima Kroczyńskiego. Zob. m.in. <http://www.odkrywca-online.pl/index1.php?action=artykuly&artykul=bagicz>

¹³ Pułk myśliwców został z Podczela karnie przeniesiony w wyniku incydentu z 4 lipca 1989 r. Po starciu z lotniska w Podczelu pilot radzieckiego MiGA 23 uznał, że awaria dopalacza nie pozwoli mu kontynuować lotu i katapultował się z samolotu. Jednak pozbawiony pilota MiG 23 przeleciał nad Polską, NRD, RFN (eskortowany przez amerykańskie samoloty F 15, które nie dostały pozwolenia na zestrzelenie), po czym skierował się w kierunku Francji. Tam miały go przejść oczekujące myśliwce Mirage, jednak radziecki samolot spadł w Belgii w okolicy miasta Kortrijk, zabijając 18 letniego Belga. Sprawa wywołała międzynarodowy skandal.

¹⁴ Zwłaszcza po 1953 r., kiedy to miały miejsce pamiętne ucieczki pilotów polskich myśliwców na tę wyspę, nie licząc ucieczek cywilnych.

¹⁵ Data za: Kalendarium wyjazdu

¹⁶ R. Dziemba, 10 lat polskiego Podczela, „Gazeta Kołobrzaska” 28 maja .2002r.

¹⁷ J. Kotuś, Społeczne dylematy w przestrzeni miejskiej, Poznań 2005, s. 16

¹⁸ Tak było m.in. w Konstancinie, Klęczanach, Tenczynku, Zabagnie itd. W każdej z tych miejscowości powstał lokalny komitet przeciwny lokalizacji zakładu, domagano się ekspertyz dotyczących oddziaływania na środowisko, sprawdzano plan zagospodarowania przestrzennego.

¹⁹ Por. przypadek zakładów Farmitilu koło Piły: zakłady nadzwyczaj uciążliwe dla mieszkańców są jednocześnie największym pracodawcą w okolicy. Tym samym, mieszkańcy reagują agresją na każdego protestującego przeciwko zakładom.

²⁰ F. Zieliński, Szata ideologiczna miasta – pomniki, w: Przemiany miasta. Wokół socjologii Aleksandra Wallisa, Warszawa 2005, s.219

²¹ Sołtys wsi w rozmowie z autorem zauważył, że sowiecki pomnik tyle razy poświęcony przez księdza nie może być groźny

²² D. Brożek, Przypilnują czerwonoarmisty, „Gazeta Lubuska” 4 maja 2007 r. Artykuł kuriozalny z tego względu, że autor opisując problemy z poradzieckim dziedzictwem symbolicznym uznał Estonię za kraj sąsiadujący z Polską.

²³ Widać to chociażby na przykładzie konfliktów spowodowanych opłatami komunalnymi, kiedy właściciele letnich mieszkań nie chcą płacić tych kosztów za cały rok, a tylko za okres lata.

Ku czci armii sowieckiej

We wszystkich krajach zdobytych w walkach z III Rzeszą przez Związek Sowiecki powstała niezmiernie rozgałęziona sieć monumentów poświęconych Armii Czerwonej, stawianych w pierwszym okresie przez żołnierzy tej armii, czasami przy współudziale miejscowych władz, w miarę upływu czasu już wyłącznie przez organa władzy i organizacje społeczno-polityczne poszczególnych państw znajdujących się pod kontrolą sowiecką. W Polsce spełniały one kilka funkcji niezależnie od tej podstawowej, jaką było po prostu upamiętnienie szacowanej na 600 tys. liczby poległych na tym terytorium żołnierzy. A że straty sowieckie były ogromne, to również ich upamiętnienie - w każdych warunkach - musiało mieć charakter masowy, już choćby za sprawą powstania licznych cmentarzy wojennych. Jednakże pomniki stawiane na cześć armii sowieckiej miały również przypominać, komu Polska zawdzięczała uwolnienie spod okupacji niemieckiej, kto miał największy wkład w pokonanie III Rzeszy i reprezentował mocarstwo światowe, i wreszcie - gdzie mieściła się siła przewodnia obozu socjalistycznego. Narzucały one wizję przeszłości, która nie pokrywała się z polską pamięcią zbiorową, nacechowaną zrozumiałym odczuciem ulgi po ustaniu okupacji niemieckiej, ale również deprymującego zniewolenia idącego ze wschodu. Wznoszone przez polskie władze Pomniki Wdzięczności Armii Radzieckiej lub Pomniki Braterstwa Broni zawierały już w swoich nazwach przesłanie odstające od rzeczywistości historycznej, a przez to spełniały funkcję upokarzającą i zniewalającą, symbolizowały podległość i dominację Związku Sowieckiego. Na Ziemiach Zachodnich i Północnych dodatkowo przypominały społeczeństwu polskiemu, komu zawdzięcza ono granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej i kto w rzeczywistości gwarantuje nienaruszalność tej granicy.

Pierwszą znaczącą rzeźbę pomnikową poświęconą Armii Czerwonej odsłonięto 23 lutego 1945 r. w Katowicach, a niedługo potem, w tym samym roku, uczyniono to w Bytomiu, Mysłowicach, Chorzowie, Zabrze, Oleśnie, Rybniku, Kielcach, Krakowie, Klimontowie, Siedlcach, Łodzi, Poznaniu i Warszawie. Na skalę

masową kontynuowano upamiętnianie armii sowieckiej do połowy lat pięćdziesiątych, trzymając się na ogół utartych schematów sztuki socrealistycznej. W ocenie Ireny Grzesiuk-Olszewskiej: „Pomniki radzieckie powstałe w latach 50-tych, to wciąż powtarzający się schemat: jeden lub grupa żołnierzy na cokole ze sztandarem (Rzeszów), z dzieckiem na rękę (Legnica, Aleksandrów Kujawski), kobietą i dzieckiem (Sosnowiec, Radom), z gołębiem (Koszalin) lub zamiast żołnierza – robotnicą ze sztandarem (Gdynia, Ostrowiec Świętokrzyski). Cokoły ich przeważnie zdobią płaskorzeźby ze scenami wyzwolenia lub pracy albo też jej personifikacje (Ostrowiec Świętokrzyski).”¹ Ciekawym odstępstwem od tego schematu był Pomnik Wdzięczności autorstwa Xawerego Dunikowskiego w Olsztynie (1954), ze względu na zastosowaną formę pylonów nazywany trochę makabrycznie „szubienicą”. W zasadzie symbolika oraz inskrypcje „pomników wdzięczności” odnosiły się tylko do Armii Czerwonej, choć w praktyce z nazwami różnie bywało, to osobny temat. W każdym razie, pomniki z serii „braterstwa broni” nie były już poświęcone wyłącznie armii sowieckiej, lecz żołnierzom zarówno sowieckim, jak i polskim, co znajdowało odzwierciedlenie w rzeźbie lub płaskorzeźbie (żołnierz polski i sowiecki), niekiedy w symbolice (sierp i młot oraz orzeł). Mimo wszystko pomniki „braterstwa broni” mogły mniej drażnić niż wcześniejsze monumenty z silnie podkreślaną symboliką sowiecką.

Trudno byłoby udowodnić, że w sensie liczbowym pomniki poświęcone Armii Czerwonej zdominowały upamiętnianie w okresie Polski Ludowej. Raczej tak nie było. Ale dane liczbowe są w tym wypadku bardzo niepewne, tym bardziej, że nie zawsze wiadomo, co właściwie podciągano pod pojęcie pomnika, nie mówiąc już o tym, że w przypadku upamiętnień ważna jest nie tylko ich liczba, ale również szereg innych, nie mniej istotnych czynników, włącznie z rytuałami odprawianymi wokół poszczególnych obiektów. Można się spotkać z informacją, że w latach 1945-1965 wzniesiono na terenie całego kraju 412 pomników na cześć Armii Radzieckiej, ale jednocześnie dla porównania:

Zielona Góra, Pomnik Braterstwa Broni. Fot. R. Reed. Zdjęcie ze zbiorów Instytutu Zachodniego w Poznaniu.



6137 pomników i tablic dla uczczenia walk Wojska Polskiego i oddziałów partyzanckich, 1124 pomników i tablic poświęconych martyrologii narodu polskiego oraz 260 obiektów ku czci wybitnych postaci z historii polskiej². Na pewno z upływem czasu malała liczba nowo stawianych monumentów poświęconych w takiej czy innej formie Armii Radzieckiej, chociaż zdarzało się to jeszcze w latach osiemdziesiątych. W 1985 r. postawiono w Barczewie obelisk z napisem: „Żołnierzom Armii Radzieckiej wyzwolicielom Barczewa / Mieszkańcy Miasta 9 maj 1985 r.”. Na podstawie wydanego w 1988 r. przewodnika po upamiętnieniach walk i męczeństwa można przyjąć orientacyjnie, że na terenie Polski znajdowało się przeszło 450 pomników poświęconych, w taki czy inny sposób, Armii Czerwonej, w czym mieściło się ok. 325 „pomników wdzięczności”³. Z tego na Ziemi Zachodniej i Północnej przypadała blisko jedna trzecia obiektów, mniej więcej w połowie klasyfikowanych do kategorii „pomników wdzięczności”. Wynikało by z tego, że w porównaniu z 1965 r. przyrost tych pomników był stosunkowo niewielki i że najprawdopodobniej przypadał głównie na obiekty z kategorii „braterstwa broni”. Z różnych powodów należy podchodzić do tych danych z dużą ostrożnością, ale wydaje się, że dają one w sumie pewne pojęcie o skali zjawiska.

Można przyjąć, że na Ziemiach Zachodnich i Północnych stosunkowo intensywne upamiętnianie Armii Czerwonej miało miejsce bezpośrednio po zakończeniu walk zbrojnych i stanowiło pokłosie albo

bezpośrednich przedsięwzięć albo inspiracji sowieckich komendantur. Weźmy dla przykładu województwo zielonogórskie, gdzie w 1962 r. sporządzono ewidencję pomników poświęconych Armii Radzieckiej. Doliczono się 31 takich pomników, przy czym 23 wzniesiono w 1945 r., 1 – w 1946 r., 2 – w 1947, 1 – w 1948 r., 2 – w 1949 r., po 1 – w 1958 i 1962. Na 23 pomniki powstałe w 1945 r. aż 9 zbudowanych zostało albo przez wojsko sowieckie albo przez „wojsko radzieckie i społeczeństwo miejscowe”, cała zaś reszta wyłącznie przez „miejscowe społeczeństwo”.⁴ Pomniki stawiane przez żołnierzy sowieckich miały to do siebie, że były opatrzone standardowymi napisami w języku



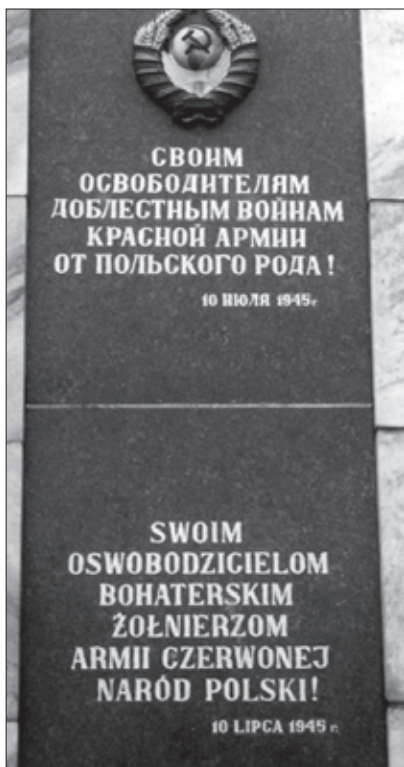
Zielona Góra, Pomnik Bohaterów II Wojny Światowej – orzeł w miejsce skutych sierpa i młota. Fot. Zb. Mazur (1997)

rosyjskim i datami „wojny ojczyźnianej” (1941-1945). Dość typowy napis brzmiał następująco: „1941-1945 Wiecznaja sława gierojom pawszim w bojach s niemiecko-faszystskimi zachwaczykami za swobodu i niezawisimost Sowietkowo Sojuza i Diemokratskiej Polszi”. Pomnik zbudowany w 1945 r. przez żołnierzy sowieckich w Gorzowie Wlkp. posiadał gwiazdę, sierp i młot oraz napis: „Wiecznaja sława gierojam pawszim w bojach za swobodu i niezawisimost naszej rodziny i oswobodzenie polskowo naroda ot niemiecko-faszystskich zachwaczykow 1941-1945 g”. Wokół pomnika znajdował się początkowo cmentarz żołnierzy sowieckich, których zwłoki w 1947 r. zostały ekshumowane i przeniesione na zbiorczy cmentarz wojenny. Stałym elementem cmentarzy radzieckich był pomnik umieszczony w centralnym punkcie⁵. W połowie lat siedemdziesiątych na Warmii i Mazurach znajdowało się 14 takich pomników na cmentarzach żołnierzy sowieckich niezależnie od postawionych w innych miejscach przez władze polskie 8 „pomników wdzięczności”.

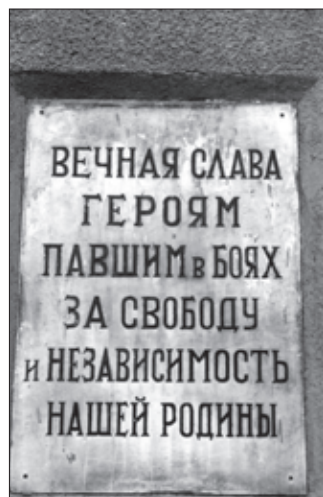
Hieronim Kroczyński tak opisał upamiętnienie dokonane w 1945 r. w Kołobrzegu: „1 listopada odbyła się uroczystość otwarcia nowo zbudowanej latarni morskiej i cmentarza wojennego. Była to inicjatywa miejscowego garnizonu radzieckiego. Okrągłą wieżę nowej latarni posadowiono na forcie Ujście. Na wysokości 26 m. umieszczono laternę, której światło miało zasięg 18 Mm. Wieża była zwieńczona czerwoną podświetlaną gwiazdą. Na zewnętrznych ścianach latarni były metalowe symbole i napisy. Wśród nich było godło ZSRR, daty wojny 1941-1945 i dwie duże tablice, jedna od strony morza z tekstem rosyjskim, druga od strony lądu z tym samym tekstem polskim: Wieczna pamięć bohaterom poległym w walce/ z faszystowską Giermanią za wolność i niepodległość/ Radzieckiego Związku i demokratycznej Polski. Przy budowie zlikwidowano stok wzniesienia, powiększono taras i obmurowano go od strony lądu podobnym do muru istniejącego już od ponad stu lat od strony północnej. Na tarasie urządzono cmentarz wojenny. W pojedynczych i zbiorowych mogiłach złożono tam szczątki 46 żołnierzy radzieckich i 16 polskich. Jeden z nich – Bohater Związku Radzieckiego mjr Klimienko, został sprowadzony w dalekich stron, żeby nadać cmentarzowi wyższą rangę. 1 listopada odbył się uroczysty pogrzeb wszystkich tych wybranych żołnierzy.”⁶. Podobnie, między kwietniem a październikiem 1945 r.,

Armia Czerwona zbudowała w centrum Stargardu Szcz. starannie rozplanowany cmentarz wojenny, gdzie pochowano 127 poległych żołnierzy, a ponadto wzniosła dwa pomniki: bezpośrednio na cmentarzu Mauzoleum Żołnierzy Radzieckich (zwieńczenie: sierp i młot) oraz na pobliskim placu Pomnik Zwycięstwa w kształcie kolumny, zwieńczonej Orderem Zwycięstwa. Na Mauzoleum znajdowała się płyta informująca, iż pomnik stanął decyzją formacji sowieckiej, podano nawet nazwiska projektantów i wykonawców. W dniu 13 listopada 1945 r. podpisano uroczyste dokument przekazujący wspomniane obiekty pod opiekę stargardzkim władzom samorządowym

W pierwszych latach po wojnie to właśnie pomniki i cmentarze żołnierzy radzieckich stanowiły punkt centralny obchodów rocznicy „wyzwolenia” poszczególnych miejscowości na Ziemiach Odzyskanych. W 1949 r. urządzono je na terenie województwa wrocławskiego dokładnie podług instrukcji Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej we Wrocławiu (7 lutego 1949), w której m.in. nakazano w przeddzień rocznicy „uroczyste złożenie wieńców przez delegacje społeczeństwa, młodzieży szkolnej, W.P. na grobach żołnierzy radzieckich i polskich i u pomników ku czci Armii Radzieckiej”. A oto kilka cytatów ze sprawozdań z obchodów w poszczególnych miejscowościach na terenie województwa wrocławskiego. Bolesławiec: „W dniu 23 kwietnia 49 r. w przeddzień obchodu rocznicy wyzwolenia m. Bolesławca, odbył się capstrzyk z udziałem kompanii honorowej W.P., orkiestry, delegacji, oraz społeczeństwa, który wyruszył ulicami miasta na cmentarz wojskowy żołnierzy radzieckich, gdzie po przemówieniu zostały złożone uroczyste wieńce przez org. społeczne, wojsko i młodzież”. Nowa Sól: „...w ramach obchodu pochód przemarszerował ulicami miasta i udał się na cmentarz żołnierzy Armii Radzieckiej, gdzie złożono wieńce”. Ścinawa: „W niedzielę dnia 13 marca, r.b. sformował się liczny pochód pod pomnik wyzwolenia, gdzie zostały złożone liczne wieńce, jako dowód wdzięczności dla Armii Radzieckiej za wyzwolenie z rąk hitlerowskich.”⁷. Weszło w tradycję Polski Ludowej, że tego rodzaju uroczystości odbywały się regularnie w rocznicę powstania Armii Czerwonej, „wyzwolenia” danej miejscowości oraz wybuchu Wielkiej Rewolucji Październikowej. Zawsze ważną ich częścią było złożenie wieńców pod pomnikiem „wdzięczności” lub „braterstwa broni”.



Tablica na pomniku w Raciborzu.
Fot. Zb. Mazur (2003)



Tablica na pomniku
w Świdwinie.
Fot. Zb. Mazur (2004)



Pomnik Przyjaźni Polsko-Radzieckiej
w Iłowie Żagańskiej. Zdjęcie ze zbiorów
Instytutu Zachodniego w Poznaniu.



Pomnik w Sulęcinie. Fot. Zb. Mazur (2001)



Szprotawa, Pomnik Braterstwa Broni.
Fot. Zb. Mazur (2003)

Nasuwa się oczywiście pytanie, co działo się po 1989 r. na Ziemiach Zachodnich i Północnych z różnymi pomnikami oddającymi hołd armii sowieckiej. Bywało różnie. Nie było kłopotów z pomnikami na cmentarzach wojennych lub na wydzielonych kwaterach poległych żołnierzy, ponieważ i tak znajdują się pod ochroną, nie mogą być usuwane i przerabiane. Cmentarze sowieckie są zresztą na ogół zadbane, pomniki również, choć zdarzają się czasem wyjątki. Nie wprowadza się tu na ogół zmian, choć zdarza się, że dostarczają one schronienia pomnikom usuwanym z miejsc publicznych, tak jak miało to miejsce chociażby w Koszalinie z „kidnaperem” (rzeźba żołnierza sowieckiego z dziewczynką). Jeśli chodzi o pomniki usytuowane w miejscach publicznych, to najogólniej wyróżnić można kilka typowych rozwiązań. Pierwsze z nich, to pozostawienie pomnika w dotychczasowym miejscu, nienaruszonego, bez żadnych, najdrobniejszych zmian. Raczej należy to do rzadkości i zazwyczaj odbywa się kosztem zaniedbania, porysowania, zaśmiecienia. Czasami robi to fatalne wrażenie, jak chociażby otoczenie i wygląd olsztyńskiego pomnika Xawerego Dunikowskiego. Drugie rozwiązanie, to demontaż i ewentualne przeniesienie na najbliższy cmentarz żołnierzy sowieckich, z tym, że dotyczy to pomników albo stawianych przez armię sowiecką albo zaliczanych jednoznacznie do kategorii „wdzięczności”. Trzecie rozwiązanie, bodaj najczęściej spotykane i najbardziej interesujące, to ratowanie istniejącej substancji pomnikowej przez zmianę jej przesłania, a więc usunięcie dawnej i dodanie nowej symboliki, zmodyfikowanie treści istniejących tablic i dorzucenie całkiem nowych tablic. Wydaje się, że to ostatnie rozwiązanie jest najbardziej preferowane i że przy wcielaniu go w życie ujawniono dużo pomysłowości.

Wspomniany wyżej pomnik-laternię w Kołobrzegu „polonizowano” na raty, stopniowo usuwając najbardziej rażącą symbolikę i prowokujące napisy sowieckie. Do dzisiaj przetrwał metalowy relief (pepesza, hełm, szabla, flaga z sierpem i młotem), ale znikła gwiazda na szczycie i pojawiły się nowe elementy: daty 1939-1945, orzeł (piastowski) i pod nim tablica: „Bohaterom/ poległym/ w walce/ z najeźdźcą/ o wolność/ i niepodległość”. Czasami pomnik nie wymagał wielkiego nakładu pracy. W Kołobrzegu postawiono w 1945 r. jeszcze jeden pomnik ku czci Armii Czerwonej, standardowy obelisk zwieńczony gwiazdą, który w 1970 r. zastąpiono „pomnikiem wdzięcz-



Legnica, pomnik. Fot. Zb. Mazur (1998)

ności” w postaci dwóch mocno stylizowanych betonowych flag, z sierpem i młotem na jednej z nich. Obecnie po skuciu sierpa i młota jest to dość dziwaczna bryła, bez wyrazu, zaniedbana i pozbawiona jakiegokolwiek wymowy symbolicznej; że jest to w ogóle pomnik, można się dowiedzieć z tablicy informacyjnej. Inaczej w Maszewie, gdzie w 1947 r. wzniesiono pomnik opatrzony tablicą od frontu „Chwała wyzwolicielom 7 III 1945”. Forma tego pomnika była tak prosta i skromna, napis zaś na tyle uniwersalny, że wystarczyło skuć pięcioramienną gwiazdę, żeby reszta mogła spokojnie dalej funkcjonować. Nie zawsze skucie jednego elementu załatwiało sprawę, albowiem wymowa całości nadal pozostawała mocno zakorzeniona w praktykach komemoratywnych Polski Ludowej. Pomnik na Placu Żołnierza w Szczecinie stracił swoje drażniące zwieńczenie, ale niewiele mu to pomogło i nadal stanowi widomy relikwiarz dawnego upamiętniania, z którym nie wiadomo co dalej zrobić. Pomnik w Głogowie przy Placu Słowiańskim, typowy produkt sztuki sowieckiej, został gruntownie przerobiony i opatrzony nową tablicą tej treści: „Żołnierzom koalicji antyhitlerowskiej poległym na frontach Drugiej Wojny Światowej. Mieszkańcy Głogowa”. Czasami obróbka jest tak staranna, że trudno się domyśleć pierwotnego, jednakże najczęściej można się stosunkowo łatwo zorientować, że obiekt został przechrzczony.

Znamienna dyskusja publiczna towarzyszyła dyslokacji pomnika w Jeleniej Górze, przedstawiającego żołnierza sowieckiego i dziewczynkę, wręczającą

kwiatki w geście wdzięczności. W 1951 r. na zebraniu Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Jeleniej Górze powołano Komitet Obywatelski Budowy Pomnika Wdzięczności Armii Radzieckiej; wykonanie rzeźby żołnierza sowieckiego zlecono Janowi Serafinowi; pozował Władysław Honela z Oficerskiej Szkoły Piechoty. Serafin podobno narzekał na modela, że „kacapy nie są takie twarzowe”, ale pracę swoją wykonał nienajgorzej, żołnierz prezentował się ładnie i sympatycznie. Pomnik odsłonięto 7 listopada 1952 r., w rocznicę Rewolucji Październikowej; w kolejne rocznice składano pod nim kwiatki i wieńce. Mówiono na niego – Iwan. W 1956 r. nastął dla pomnika trudny moment. „Tłumy ludzi – pisał Wojciech Jankowski – przyglądały się wtedy wyłamywaniu pomnika za pomocą tramwaju. Wtedy nie udało się, tramwaj okazał się słabszy niż Iwan, a cała próba okazała się przedwczesna, naiwna jak ówczesna krótkotrwała wiara w koniec socjalizmu i w patriotyzm Władysława Gomułki”⁸. Gdyby liny podczepiono do rzeźby pomnikowej, Iwan spadłby natychmiast, ale że umocowano je do cokołu, to wykoleił się tramwaj. W końcu 1990 r.



Jelenia Góra, Cmentarz Komunalny, pomnik „Iwana”.
Fot. Zb. Mazur (1998)

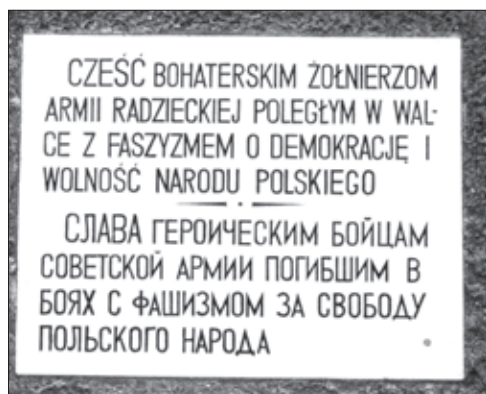


Pomnik w Brzegu. Fot. Zb. Mazur (2003)

zabrano się do tego bardziej systematycznie, rozpoczynając od dyskusji w prasie i na forum Rady Miejskiej. Podczas specjalnej sesji Rady (10 maja 1991) padły mocne argumenty za usunięciem Iwana: „...sama nazwa pomnika urąga poczuciu sprawiedliwości, suwerenności i godności Polaków (...) większość Polaków nie ma powodu do odczuwania wdzięczności dla imperium moskiewskiego (...) postępowanie tej armii w stosunku do narodu polskiego wcale nie było łagodniejsze niż okupanta niemieckiego. Armia radziecka wniosła znaczny wkład w zwycięstwo koalicji nad faszyzmem, to fakt, jednak należy sobie uświadomić, że wyzwalenie ziem polskich nie dokonywało się z pobudek altruistycznych, lecz wyłącznie w interesie wielkomocarstwowym” (Wł. Kumik)⁹.

Iwan miał przeciwników i obrońców. Przeciwnicy mówili, że powinien sobie odejść, bo symbolizował fałsz i zakłamanie minionej epoki, ukrywanie prześladowań Polaków przez Związek Sowiecki oraz okupowanie i rabowanie Polski przez Armię Czerwoną. Cytowany już Wojciech Jankowski pisał, że Iwan był symbolem „fałszywym”, bo „symbolizował zdarzenia, które nie zaszły i uczucia, których nikt nie żywił”. Wyjaśniał dalej: „Nie o prawdę uczuć zresztą chodziło: Iwan ustawiony został jako symbol zhołdowania Polski Związkowi Radzieckiemu i miał przypominać, kto tu rządzi”. Związek Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego oświadczył, że „...elementy symbolizujące zakłamanie i bezprawie powinny raz na za-

Tablica na pomniku
w Krajeńcu.
Fot. Zb. Mazur (2002)



Koźuchów, Cmentarz
Komunalny, tablica na
pomniku. Fot. Zb. Mazur
(2004)



Koźuchów, Cmentarz
Komunalny, kwatery
żołnierzy radzieckich.
Fot. Zb. Mazur (2004)



Smołdzino, pomnik. Fot. Zb. Mazur (2001)



Górzycza, pomnik „radziecki” na podstawie
poniemieckiego pomnika. Fot. Zb. Mazur (1999)

wsze zniknąć z naszych krajobrazów, m.in. po to aby nowe pokolenia nie kojarzyły sobie Armii Czerwonej z wyzwolicielami dzieci¹⁰. W listach do redakcji „Nowin Jeleniogórskich” pisano: 1. „Nie chcę widzieć ani jednego pomnika radzieckiego na naszych ulicach. Myślę o tych tysiącach ludzi, którzy zginęli z rąk radzieckich” 2. „Postać Iwana jest nie tylko ciężka i ponura, ale i na dobitkę nie wiadomo co robi i po co się znalazła mała dziewczynka (raczej nie polska, bo istotnie ‘wyzwoliciele’ 9 maja 1945 witali w ówczesnym Hirschbergu sami tylko Niemcy). A z Czerwoną Armią i dziewczynkami w różnym wieku bywało b. rozmaicie” 3. „Nieprawdą jest, że Armia Radziecka wyzwoliła Jelenią Górę, Warszawę, a tym bardziej Polskę. Natomiast prawdą jest, że Armia Radziecka zajęła Jelenią Górę, jak i całą Polskę, a to różnica między zajęciem a wyzwoleniem” 4. „Z rzekomo wyzwolonej Jeleniej Góry, okupant sowiecki wywiózł wszystkie maszyny z fabryk, a nawet zniszczył trakcję elektryczną łączącą Wrocław z Jelenią Górą, a także ze Szklarską Porębą. Dziękuję za takie wyzwolenie i większość Polaków zrobiłaby to samo”¹².

Obrońcy Iwana podkreślali przede wszystkim fakt, że Armia Czerwona wyzwoliła Polskę spod okupacji niemieckiej. Marian Południkiewicz argumentował: „Jest to pomnik wdzięczności Armii Radzieckiej za wyzwolenie tego miasta, za przywrócenie tych ziem Polsce. Czy tego chcemy, czy nie chcemy, to od Armii Radzieckiej przejęliśmy to miasto. Ponownie polskie miasto. Polskie po ok. 600 latach. Dlatego jestem przeciwn! (...) Pomnik ten stawiano tym, co zginęli tu na obcej ziemi, w akcji nie za swoją, a za naszą sprawę”¹³. Prezydium Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej 7 marca 1991 r. oświadczyło: „Pomnik Wdzięczności Armii Radzieckiej powinien pozostać na placu Niepodległości w Jeleniej Górze. Jest on elementem historycznym i symbolizuje żołnierza Armii Radzieckiej, który wraz z żołnierzami Wojska Polskiego wyzwolił nasz kraj od okupacji hitlerowskiej”¹⁴. Kilka cytatów z listów do redakcji „Nowin Jeleniogórskich”: 1. „wolność przyszła ze Wschodu” a „Zachód zdradził w 1939 r.”¹⁵ 2. „Gdyby nie ten prosty żołnierz radziecki, który wyzwalał w pościgu za wrogiem niemieckim nasze polskie ziemie i miasta wraz z wojskiem polskim dziś na pewno niejednego z nas nie byłoby przy życiu” 3. „Ten pomnik jest dla nas mieszkańców Jeleniej Góry świadectwem historii najnowszej jak i świadectwem mi-

Koszalin, pomnik na cmentarzu żołnierzy radzieckich. Napis na tablicy głosi: „Zwycięskiej Armii Radzieckiej wyzwolicielce odwiecznie polskiej Ziemi Koszalińskiej w dziesięciolecie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Społeczeństwo Miasta Koszalina (zrekonstruowano Marzec 2001)”. Fot. Zb. Mazur (2002)



nionej epoki”¹⁶ 4. „Pomnik żołnierzy radzieckich wystawiony w Jeleniej Górze symbolizuje wdzięczność za wyzwolenie naszego regionu i nic więcej (...) Nie ma on nic wspólnego z wynaturzeniami okresu stalinowskiego. (...) Pomnik Wdzięczności jest wytworem sztuki rzeźbiarskiej i jego zniszczenie czy usunięcie byłoby świadectwem niskiej kultury osobistej. Traktowano by nas w świecie jak narody z okresu barbarzyństwa”¹⁷. obrońcy Iwana bardzo często zwracali uwagę na niepotrzebne koszty związane z usunięciem pomnika, a radnym miejskim doradzali zajęcie się innymi, znacznie dla mieszkańców ważniejszymi sprawami. Dość typowe dla obrońców symboliki z czasów Polski Ludowej.

W dyskusji wyczuwało się pewien wątek sentymentalny, wyrażający się w niechęci do usuwania z krajobrazu miejskiego pomnika, który z jednej strony w nim się zadowolił i przestał pełnić dawną funkcję symboliczną – z drugiej. Wątek ten odzywał się w wystąpieniach zarówno zwolenników, jak i przeciwników Iwana. Marian Południkiewicz, który chciał zostawić Iwana na dawnym miejscu, przypominał, że pomnik „wrosł już głęboko w tkankę miasta, stał się znakiem informacyjnym, punktem, przy którym łatwo umówić się na spotkanie. Spotykamy się przecież pod ‘Iwanem’”. Wojciech Jankowski, który z kolei popierał

przeniesienie Iwana na cmentarz, przyznawał że „niektórym żal trochę pomnika, który mimo wszystko zrósł się z miastem, a w ciągu ostatnich dwóch lat oderwał od dotychczasowych znaczeń i stał się tylko składnikiem lokalnego kolorytu, sentymentalną pamiątką minionych czasów. (...) Ile par umawiało się właśnie pod Iwanem? Ile osób wiązały z pomnikiem sentymentalne wspomnienia nie mające nic wspólnego z tymi wszystkimi fałszywymi i upokarzającymi treściami, które chcieli Iwanowi nadać ci, co go w mieście ustawili?”. Ostatecznie Iwana dzierżącego pepeszę oraz dziewczynkę z bukietem kwiatków przetransportowano na stary cmentarz komunalny, gdzie stanął w wydzielonej kwaterze poległych żołnierzy sowieckich. Część mieszkańców, jak również część radnych krzywiła się na koszty, jakie w związku z tym poniosło miasto, ale ostatecznie przenosiny zaakceptowano. Zbigniew Rzońca skomentował to żartobliwie: „Iwan do końca był mężny. Do końca nie wypuścił z rąk dającej mu kwiatki dziewczynki. Niech zostanie w pokoju”¹⁸. Na cmentarzu nie jest obiektem żadnego kultu, stał się integralnym składnikiem kwatery poległych żołnierzy, a ze względu na swoją burzliwą historię dostarcza materiału opowiadaczom lokalnych ciekawostek.

O pomnikach politycznych słusznie się mówi, że prowadzą niezwykle ryzykowny żywot, mocno uzależniony od przetrwania tradycji ideowej, która towarzyszyła ich narodzinom. To, że w dyskusjach na temat pomników ku czci Armii Czerwonej, niekiedy odżywa ich polityczna wykładnia z czasów Polski Ludowej, zdaje się świadczyć, iż coś jeszcze zostało z przebrzmiałej tradycji, że nadal pokutują łatwo rozpoznawalne klisze interpretacyjne. Ale to już problem nie tyle pomników, ile wciąż niezbyt okrzepłej pamięci zbiorowej. Jedno wydaje się pewne, że nawet jeśli gdzieś pozostał integralny pomnik oddający hołd Armii Czerwonej, całkowicie nietknięty, włącznie ze starymi inskrypcjami i symboliką, to w przestrzeni kulturowej zajmuje on inne niż niegdyś miejsce i spełnia inną funkcję. W każdym razie nie stanowi punktu centralnego oficjalnie obchodzonych, regularnych i corocznych rytuałów politycznych, polegających na składaniu hołdu Armii Radzieckiej i Związkowi Radzieckiemu oraz pielęgnowaniu „nierozzerwalnego” sojuszu polsko-radzieckiego. To się po prostu skończyło. W tym sensie można zaryzykować stwierdzenie, że ten rodzaj pomnika politycznego został

w znacznej mierze rozbrojony, zneutralizowany, unieszkodliwiony. Nie zmienia to faktu, iż w warstwie symbolicznej pozostaje wciąż gorzkim świadectwem tradycji narzuconej, obcej i upokarzającej. Jeśli taki pomnik trwa w postaci integralnej i w miejscu publicznym, to mimo wszystko wypadałoby coś z nim zrobić, nie czekając aż problem rozstrzygnie samoczynna destrukcja. Społeczności lokalne potrafią w tych sprawach zabłysnąć sporą inwencją, choć niekiedy zbyt długo czekają na zewnętrzny impuls. Przedefiniowanie takich akurat pomników nie jest niczym złym i nagannym. To prawda, że nie zawsze i do końca zaciera się paskudny rodowód obiektu i że powstaje w ten sposób coś w rodzaju czytelnego palimpsestu, ale paradoksalnie owa częsta niezbornosć symboliczna daje znakomite świadectwo czasom przełomu i zmagania się z narzuconą tradycją. Nie wykluczone, że w tym wypadku symboliczne kontrasty i zgrzyty posiadają nawet jakiś głębszy sens i że chcąc nie chcąc niosą ze sobą dodatkowe i ważne przesłanie dla przyszłych pokoleń.

¹ Irena Grzesiuk-Olszewska, *Polska rzeźba pomnikowa w latach 1945-1955*, Warszawa 1995, s.50.

² AAN, KC PZPR sygn. 237/VIII-972, pismo Wydziału Kultury i Wydziału Propagandy i Agitacji KC PZPR z listopada 1970 dotyczące budowy pomników i tablic upamiętniających

³ Przewodnik po upamiętnionych miejscach walk i męczeństwa lata wojny 1939-1945, Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, wyd. IV, Warszawa 1988.

⁴ AP w Zielonej Górze (Stary Kisielin), Wojew. Obyw. Komitet Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa w Zielonej Górze, sygn. 9, Wykaz pomników wzniesionych ku czci żołnierzy radzieckich na terenie wojew. zielonogórskiego, 1962 r.

⁵ O cmentarzach sowieckich B. Affek-Bujalska, *Groby żołnierzy Armii Radzieckiej poległych w Polsce w II wojnie światowej*, „Przeszłość i Pamięć”, 1999 nr.1, s.35-47

⁶ H.Kroczyński, *Kronika Kołobrzegu*, Kołobrzeg 2000 r., s.370.

⁷ AP w Wrocławiu, Urząd Wojewódzki Wrocławski, sygn. VI/207.

⁸ W. Jankowski, *Epitafium dla Iwana*, „Nowiny Jeleniogórskie” z 4 grudnia 1991 r.

⁹ Iwan spada z cokołu, „Nowiny Jeleniogórskie” z 15 maja 1991 r.

¹⁰ „Nowiny Jeleniogórskie” z 27 marca 1991 r.

¹¹ „Nowiny Jeleniogórskie” z 27 lutego 1991 r.

¹² „Nowiny Jeleniogórskie” z 8 maja 1991 r.

¹³ M.Południkiewicz, *Jestem przeciw!*, „Nowiny Jeleniogórskie” z 13 lutego 1991 r.

¹⁴ „Nowiny Jeleniogórskie” z 27 marca 1991 r.

¹⁵ „Nowiny Jeleniogórskie” z 27 lutego 1991 r.

¹⁶ „Nowiny Jeleniogórskie” z 6 marca 1991 r.

¹⁷ „Nowiny Jeleniogórskie” z 10 kwietnia 1991 r.

¹⁸ Z.Rzońca, *Żegnaj Iwan, witaj Iwan*, „Nowiny Jeleniogórskie” z 9 listopada 1991 r.

Pomniki polityczne „czerwonego Berlina”

1. „Miejsca Pamięci i Przestrogi” w polityce historycznej NRD

Formy wizualizacji politycznej pamięci funkcyjnej (Aleida Assmann) nowopowstałej Niemieckiej Republiki Demokratycznej były w głównej mierze przełożeniem na praktykę komemoracji jej mitu założycielskiego, a więc przekonania, że to Niemcy antyfaszyści pokonali u boku Armii Czerwonej hitlerowską dyktaturę i stworzyli w ten sposób nowe Niemcy. Jednakże tworzenie wspomnianego mitu nie odbywało się poprzez pamięć komunikatywną czyli indywidualne wspomnienia cyrkulujące w obrębie codziennej komunikacji. Przyczyną tego był fakt, iż tak naprawdę to tylko niewielu Niemców stawiało opór nazistowskiej dyktaturze. Stąd też mit założycielski NRD skazany był na kulturowe formy jego upowszechniania w pamięci zbiorowej, czyli rytuały, pomniki, literaturę i sztukę, po które sięgano chętnie, prowadząc przy tym ekspansywną politykę historyczną. Jej konsekwencją jest fakt, że niemal na całym terytorium byłych Niemiec Wschodnich rozsiane są pomniki i tablice upamiętniające antyfaszystowski ruch oporu, socjalistycznych bohaterów oraz historię NRD.¹ W nomenklaturze wschodnioniemieckiej polityki historycznej wymienione powyżej formy upamiętniania nosiły zbiorczą nazwę „Narodowe Miejsca Pamięci i Przestrogi” (NMPiP), („Nationale Mahn- und Gedenkstätten”, NMG). Za ich tworzenie odpowiedzialne było „Kuratorium Budowy Narodowych Miejsca Pamięci i Przestrogi” („Kuratorium für den Aufbau NMG”). Instytucją, której podlegały „Narodowe Miejsca Pamięci”, było Ministerstwo Kultury NRD. Ich cele precyzował statut z 28.01.1961. Miały one przybliżyć i przedstawiać „a) walkę niemieckiej klasy robotniczej i wszystkich demokratycznych sił przeciw grożącemu niebezpieczeństwu faszystowskiemu, b) rolę Komunistycznej Partii Niemiec jako największej i przewodniej siły w walce przeciw przestępczemu reżimowi nazistowskiemu (...) g) historyczną rolę NRD”.² Wśród „Narodowych Miejsca Pamięci i Przestrogi” wyróżniano cztery kategorie, służące upamiętnianiu: 1. historycz-

nych wydarzeń niemieckiego ruchu robotniczego do roku 1917, 2. historycznych wydarzeń niemieckiego ruchu robotniczego (czyli KPD) w latach 1918-1933, 3. antyfaszystowskiego ruchu oporu w latach 1933-1945, 4. znaczących przywódców robotniczych. Oprócz NMPiP o znaczeniu ponadregionalnym prawie w każdej gminie w byłej NRD powstawały miejsca pamięci (Gedenkstätten) ruchu robotniczego, antyfaszystowskiego ruchu oporu oraz budowy socjalizmu. Przybierały one przeróżne formy: pamiątkowych tablic na domach, w których urodziły się bądź mieszkały wybitne osobistości ruchu robotniczego lub prześladowani przez narodowy socjalizm; grobów lub cmentarzy poległych żołnierzy radzieckich, znaczących historycznie miejsc, sal lub budynków oraz pomników.³

2. Los pomników politycznych po 1990 r.

Upadek muru berlińskiego i zjednoczenie Niemiec wywołały żywą dyskusję na temat dalszego losu miejsc pamięci i pomników politycznych. W jednym ze swoich wydań z listopada 1990 r. niemiecki dziennik „Bild-Zeitung” wzywał do burzenia „czerwonych pomników”: „Tutaj wszyscy są zgodni: Marks, Lenin, Thälmann – zrzućcie ich w końcu z cokołów!”⁴ Dyskusja na temat zmian nazw ulic i burzenia pomników zaczęła się jednakże wcześniej, bo na rok przed końcem NRD i zjednoczeniem Niemiec. Już wtedy zaczęto usuwać pierwsze tablice i zmieniać nazwy ulic.⁵ Do masowego i radykalnego usuwania i burzenia pomników minionego systemu w zjednoczonych już Niemczech jednak nie doszło. Dlatego też nawet w najmniejszym wschodnioniemieckim miasteczku natkniemy się na ulice upamiętniające Różę Luksemburg, Marksa, Engelsa i inne postaci ruchu komunistycznego. W obchodzeniu się z pomnikami z epoki socjalizmu przez władze powiatów z terenu byłej NRD da się wyróżnić dwie tendencje:

a) Wyraźną różnicę między prowincją a większymi ośrodkami miejskimi – na wsi i w małych miasteczkach przemianowano w odróżnieniu od wielkich miast mniej nazw ulic, znajdziemy tam ponadto więcej so-

Forum Marksa -
Engelsa, Berlin
Alexanderplatz.
Fot. R. Żytniec
(2007)



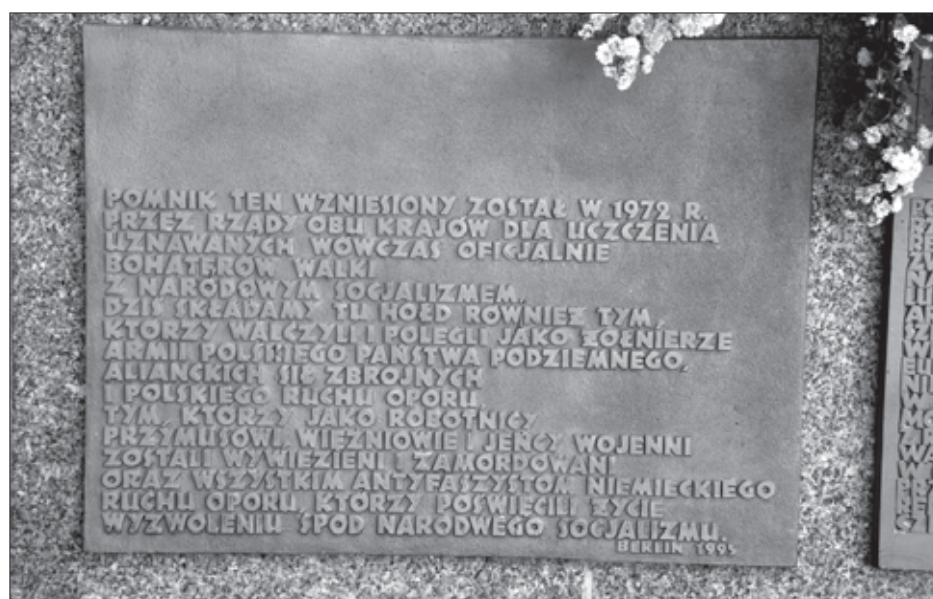
cialistycznych pomników i socjalistycznej sztuki użytkowej. W miastach średniej wielkości sytuacja jest inna. I tak np. miasteczko Lutherstadt Eisleben podarowało swój związany z niemiecko-radzieckim mitem bohatera pomnik Lenina Niemieckiemu Muzeum Historycznemu w Berlinie, a Chemnitz w dalszym ciągu wykorzystuje monumentalną głowę Marksa jako symbol miasta (hasło: „Miasto z głową – Stadt mit Köpchen“) i atrakcję turystyczną.

b) Ważną rolę odgrywała treściowa zawartość danego pomnika lub nazwy ulicy. Jeśli upamiętniały one przedkomunistyczny ruch robotniczy lub walkę z narodowym socjalizmem, to obchodzono się z nimi bardziej tolerancyjnie. Jeśli natomiast zawierały odniesienia wyłącznie komunistyczne (np. pomniki Lenina

lub Thälmana) lub zawierały zimnowojenny element konfrontacyjny przeciwko Zachodowi (pomniki Piecka lub Ho-Szi-Mina), to ich przetrwanie było mało prawdopodobne.⁶

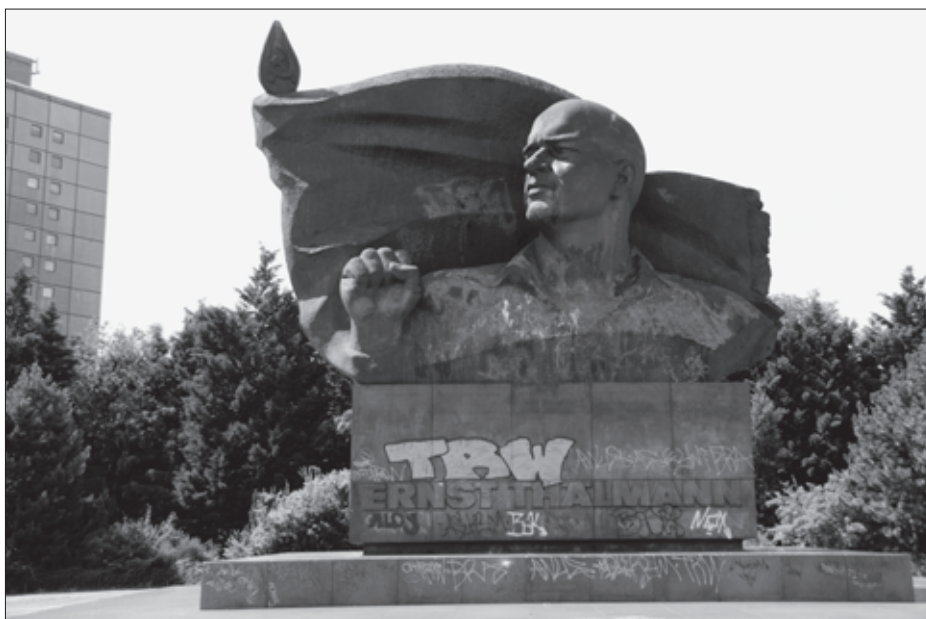
3. „Pozostawić – zburzyć – zmienić?”. Dyskusja wokół politycznych pomników z czasów NRD w Berlinie Wschodnim

Wyjątkiem od wspomnianej tendencji nie pozostał także Berlin, w którym jako stolicy byłej NRD zostało postawionych wiele pomników mających legitymizować władzę SED i utrwać w pamięci zbiorowej mit założycielski socjalistycznego państwa. Fakt, iż polityczne turbulencje wokół upadku muru berlińskiego



Nowa tablica na pomniku
polskiego żołnierza
i niemieckiego
antyfaszysty.
Fot. R. Żytniec (2007)

Pomnik Ernsta Thaelmanna, Berlin Prenzlauer Berg. Fot. R. Żytyńiec (2007)



nie doprowadziły do burzenia pomników, nie oznaczał jednak, że nie prowadzono dyskusji na temat ich dalszego losu. Ich przebieg chciałbym pokazać na kilku berlińskich przykładach. Przedtem jednak należy poczynić jedno zastrzeżenie: przedmiotem debaty pomnikowej w byłej NRD nie były pomniki wystawione zaraz po wojnie przez Związek Radziecki poległym żołnierzom Armii Czerwonej. Do ich zachowania i konserwacji zobowiązywał bowiem Niemcy art. 18 zawartego 9 listopada 1990 r. z ZSRR „Układu o Dobrym Sąsiedztwie, Partnerstwie i Współpracy”. Gwoli uzupełnienia należy dodać, że pomniki te znajdują się najczęściej na terenie cmentarzy. Przykładem jest tu choćby gigantyczne założenie cmentarno-pomnikowe w berlińskim Parku Treptow.⁷

Sposób dalszego obchodzenia się z politycznymi pomnikami epoki NRD w Berlinie stał się przedmiotem debaty już w roku 1990. Ukonstytuowała się wtedy ogólnoniemiecka Inicjatywa „Polityczne Pomniki NRD” (Initiative „Politische Denkmäler der DDR”), która opowiedziała się za ochroną i pozostawieniem pomników, uznanych za dokumenty historii świadczące o istnieniu byłej NRD. Pomniki te mogły stać się w przekonaniu członków Inicjatywy punktem wyjścia do świadomego odczytywania procesów historycznych i służyć tym samym przewyciężeniu i zmierzeniu się z własną historią. Jej berlińska sekcja podjęła szereg kroków prowadzących do stworzenia podstawy pod szerszą debatę publiczną na temat pomników, z których najważniejszym była wystawa: „Pomniki NRD w Berlinie Wschodnim” zorganizowana w „Aktives Mu-

seum Faschismus und Widerstand” w Berlinie. Jej głównym celem było zwrócenie uwagi na różnorodność treściową pomników z byłej NRD.⁸

Efektem starań o szeroką debatę publiczną na temat pomników politycznych było wysunięte przez gremia fachowców z zakresu historii sztuki i ochrony zabytków żądanie utworzenia niezależnej komisji ekspertów, która miałaby wypracować szczegółowe i zróżnicowane zalecenia co do dalszego ich losu. Starania o powołanie takiej komisji przez Senat Berlina trwały ponad rok. Tymczasem politycy niektórych partii, przede wszystkim CDU, przeszli do politycznej ofensywy i zainscenizowali zmiany nazw ulic i burzenie pomników jako kontynuację pokojowej rewolucji z roku 1989.⁹ W ten sposób zrodził się w Berlinie ostry konflikt między podbudowanymi merytorycznie intencjami ochrony zabytków a aktualnymi tendencjami politycznymi.¹⁰ Jego wyrazem były spory wokół zburzonego 13 listopada 1991 r. pomnika Lenina w Berlinie-Friedrichshain. Mierzący 19 m pomnik z ukraińskiego granitu dłuta radzieckiego rzeźbiarza N. W. Tomskiego został odsłonięty w 1970 r. przez Waltera Ulbrichta podczas manifestacji z udziałem 200 000 obywateli NRD. Zburzenie pomnika wywołało protesty ludności Berlina. Demonstrantom udało się nawet przymocować na pomniku transparent z napisem: „Bez przemocy!” („Keine Gewalt!”). Charakter protestów wokół usunięcia pomnika pozwala na stwierdzenie, że odbyło się ono wbrew woli mieszkańców Berlina.¹¹



Pomnik antyfaszysty. Fot. R. Żytyńiec (2007)

W marcu 1992 r. postanowieniem Senatu Berlina powołano „Komisję ds. Powojennych Pomników Politycznych w Byłym Berlinie Wschodnim” („Kommission zum Umgang mit den politischen Denkmälern der Nachkriegszeit im ehemaligen Ost-Berlin”). W czasie swojej działalności Komisja zajęła się ok. 400 obiektami: oprócz monumentalnych i pełnych symboliki założeń pomnikowych były to także miejsca pamięci o mniejszym wymiarze, jak choćby kamienie pamiątkowe. Przedłożone rok później sprawozdanie Komisji obwarowywało dalsze istnienie pomników epoki komunizmu w społeczeństwie demokratycznym jednym głównym zastrzeżeniem: powinny być one ogólnie akceptowane jako świadectwa historii minionych czasów. Wychodzono przy tym z założenia, że akceptacja ta rośnie wraz z upływającym czasem. Komisja stwierdziła ponadto, że większość pomników politycznych upamiętnia osoby i wydarzenia sprzed czasów rządów SED, które jednakże wykorzystano do legitymizacji jej rządów i tworzenia nowej tradycji NRD. W odniesieniu do pomników nawiązujących do tradycji demokratycznych i socjalistycznych oraz ofiar narodowego socjalizmu i ruchu oporu uznano, że ich dalsze istnienie w społeczeństwie demokratycznym jest niezbędne i należy się z nimi obchodzić szczególnie ostrożnie. „W każdym pojedynczym przypadku trzeba sprawdzić, czy historia, która ma być upamiętniana, jest wyraźnie widoczna za jej politycznym przetworzeniem lub jak ją można na nowo uwidocznic.”¹² Negatywnie odniesiono się do postulatu zepchnięcia w niepamięć czter-

dziestu lat historii NRD i zesłania jej historycznych świadectw do „parku niewygodnych pomników”.

Biorąc pod uwagę wymienione powyżej kryteria Komisja nie zalecała prostej alternatywy: „wyburzyć czy pozostawić dany pomnik”, lecz nawet w przypadku uznania danego pomnika za zbędny, dokładne zastanowienie się, jak szybko ma on zostać usunięty (wchodziły tutaj także w rachubę względy finansowe). Jeśli już jakiś pomnik miał być usunięty, to należało zastanowić się nad sposobem usunięcia powstałych w ten sposób ubytków w krajobrazie miejskim. Zalecenie pozostawienia jakiegoś pomnika nie wykluczało ponadto jego częściowego przekształcenia lub uzupełnienia wyjaśniającym komentarzem.

Opublikowanie sprawozdania Komisji zbiegło się z symbolicznym zakończeniem publicznych debat na temat politycznych pomników z czasów byłej NRD, jakim było usunięcie 28 lutego 1992 r. znajdującego się w dzielnicy Prenzlauer Berg Pomnika Oddziałów Walki Klasy Robotniczej (Kampfgruppen der Arbeiterklasse), czyli zorganizowanej w państwowych zakładach pracy w NRD paramilitarnej formacji bojowej, której zadaniem było m.in. tłumienie wewnętrznych powstań.¹³ Przed usunięciem pomnik ten został jednak poddany szeregowi zabiegów, które miały zwrócić uwagę na jego ideologiczną wymowę. Na pomniku zamontowano dwie tablice z krytycznym komentarzem oraz postawiono koło niego dwa fragmenty muru berlińskiego, do którego budowy wykorzystano w sierpniu 1961 r. wspomniane oddziały. Chęć

Tablica na pomniku antyfaszysty.
Fot. R. Żytyniec (2007)



krytycznej refleksji na temat historii NRD, którą kierował się Urząd Dzielnicy Prenzlauer Berg w uchwale na temat dalszego losu Pomnika Oddziałów Walki Klasy Robotniczej oraz znajdującego się również w tej dzielnicy pomnika Thälmana z września 1990 r., ustąpiła w 1992 r. przekonaniu wyrażonemu w nowo podjętej uchwale, iż niemożliwe jest, żeby służąca niedemokratycznym i niehumanitarnym celom organizacja w dalszym ciągu była publicznie upamiętniana w formie pomnika. W rezultacie pomnik wylądował na podwórzu Miejskiego Zakładu Oczyszczania, skąd miał zostać zabrany do magazynu Niemieckiego Muzeum Historycznego.¹⁴

4. Pomniki pozostawione – świadectwa ideologii, turystyczna atrakcja czy plac zabaw?

Podsumowując debatę na temat losu pomników politycznych z czasów NRD w Berlinie Wschodnim można stwierdzić, że skutkowałą ona usunięciem tylko najbardziej kontrowersyjnych pomników: Lenina i Oddziałów Walki Klasy Robotniczej. Resztę z nich, co prawda już o nie tak monumentalnym charakterze, pozostawiono. Wyjątkiem pozostaje tu jednak ciągle pomnik zamordowanego w sierpniu 1944 r. w Buchenwaldzie przywódcy hamburskiej KPD Ernsta Thälmana, którego wschodnioniemiecka kultura pamięci uczyniła jednym z filarów socjalistycznego państwa.¹⁵ Mierzące 13 m popiersie z brązu na marmurowym cokole autorstwa radzieckiego rzeźbiarza

Lwa Kerbela odsłonięto w 1986 r. w setną rocznicę urodzin Thälmana, w znajdującym się przy Greifswalder Straße parku i osiedlu jego imienia. Pomnik przedstawia Thälmana z zaciśniętą pięścią na tle powiewającej flagi z sierpem i młotem na jej końcu. Na cokole widoczny jest napis „Ernst Thälmann”. Znajdujące się na pomniku tablice z cytatami z Thälmana i Honeckera zostały usunięte. Wspomniana wcześniej komisja Senatu Berlina zaleciła w 1993 r. usunięcie pomnika, które nie doszło do skutku ze względu na jego wysokie koszty. Ostatecznie okazało się ono jednak niemożliwe, ponieważ tymczasem pomnik został objęty ochroną konserwatorską.¹⁶

Przykładem udanej próby krytycznego ustosunkowania się do ideologicznych treści pomników politycznych jest powstały na przełomie 1971/1972 r. „Pomnik Żołnierza Polskiego i Niemieckiego Antyfaszysty” dłuta Zofii Wolskiej, Tadeusza Ladziany oraz Arnda Wittiga i Güntera Merkela, który znajduje się w parku w dzielnicy Friedrichshain. Założenie to składa się z kolumny z piaskowca zakończonej flagą z brązu, na której umieszczono polskie godło z czasów PRL oraz godło NRD. Po obu stronach kolumny umieszczono kamienny relief z wyobrażeniem żołnierza polskiego, radzieckiego i niemieckiego antyfaszysty oraz ścianę z napisami w języku polskim i niemieckim: „Za waszą i naszą wolność”. Pierwotnie u stóp pomnika umieszczono tablicę z następującym napisem w języku polskim, niemieckim i rosyjskim:

Relief na pomniku polskiego żołnierza i niemieckiego antyfaszysty. Fot. R. Żytyniec (2007)



„Pomnik ten wzniesiony przez rządy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Niemieckiej Republiki Demokratycznej w rocznicę zwycięstwa koalicji antyhitlerowskiej upamiętnia czyn zbrojny Ludowego Wojska Polskiego, które u boku Armii Radzieckiej przebyło pełen chwały szlak bojowy od Lenino do Berlina, wnosząc wkład w wyzwolenie narodów Europy od faszyzmu, upamiętnia czyn niemieckich antyfaszystów, którzy w obronie najwyższych wartości moralnych swego narodu toczyli wspólnie z radzieckimi i polskimi towarzyszami walkę z hitlerowskim terrorem, tworząc w okresie faszystowskich rządów wizję przyszłej socjalistycznej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Cześć ich pamięci!”

W 1995 r. po obu stronach tej tablicy umieszczono dwie następne z napisem w języku polskim i niemieckim:

„Pomnik ten wzniesiony został w 1972 r. przez rządy obu krajów dla uczczenia uznawanych wówczas oficjalnie bohaterów walki z narodowym socjalizmem. Dziś składamy tu hołd również tym, którzy walczyli i polegli jako żołnierze armii polskiego Państwa Podziemnego, alianckich sił zbrojnych i polskiego ruchu oporu, tym którzy jako robotnicy przymusowi, więźniowie i jeńcy wojenni zostali wywiezieni i zamordowani oraz wszystkim antyfaszystom niemieckiego ruchu oporu, którzy poświęcili życie wyzwoleniu spod narodowego socjalizmu”.

Nowy napis na pomniku tworzy więc przeciwagę do pierwotnego twierdzenia propagandowego. Jego treść została uchwalona przez Radę Dzielnicy Friedrichshain i uzgodniona z ambasadą Polski i twórcami pomnika.¹⁷

Patrząc z dzisiejszej perspektywy na berlińskie pomniki polityczne z okresu dawnej NRD, można zaryzykować twierdzenie, że jako świadectwa minionej ideologii już od dłuższego czasu są poddane procesowi głębokiej historyzacji. Na pewno są one jednak nie pozbawioną pewnej egzotyki atrakcją turystyczną, przy której odnalezieniu bardzo pomocne są przewodniki pt. „Czerwony Berlin” („Das rote Berlin”). Prym wiedzie tutaj zdecydowanie znajdujące się w parku przy Alexanderplatz Forum Marksa-Engelsa, którego centrum stanowią siedzący Marks i stojący Engels. Zdjęcie na kolanach tego pierwszego cieszy się wśród odwiedzających to miejsce licznych turystów dużą popularnością. Berlińska młodzież wreszcie chętnie wykorzystuje przestrzeń wokół pomników do jazdy na deskorolkach, a prawdziwą plagą są graficyarze, nie mający skrupułów przed przyozdabianiem pomników kolorowymi rysunkami i napisami.

¹ Por. E. Wolfrum, „Die beiden Deutschland”. w: V. Knigge, N. Frei (red.): *Verbrechen erinnern. Die Auseinandersetzung mit Holocaust und Völkermord*. Bonn 2005. s. 153-169, tutaj s. 162 i 163.

² „Nationale Mahn- und Gedenkstätten”. w: *Enzyklopädie der DDR*, Berlin 2004. (Digitale Bibliothek, Band 32). s. 4663.

³ Por. tamże, s. 4664-4665.

⁴ M. Schönfeld, „Erhalten – Zerstören – Verändern? Diskussionsprozesse um die politischen Denkmäler der DDR in Berlin.” w: *kritische berichte. Zeitschrift für Kunst- und Kulturwissenschaften*, nr 1/1991, s. 39-43, tutaj s. 41.

⁵ Por. J. Sängler, *Heldenkult und Heimatliebe. Straßen- und Ehrennamen im offiziellen Gedächtnis der DDR*. Berlin 2006.

- ⁶ T. Ahbe, *Ostalgie. Zum Umgang mit der DDR-Vergangenheit in den 1990er Jahren*. Tübingen 2005. s. 24.
- ⁷ Por. *Das Treptower Ehrenmal. Geschichte und Gegenwart des Ehrenmals für die gefallenen sowjetischen Soldaten in Berlin*. Berlin 1980.
- ⁸ M. Schönfeld, op. cit. s. 39 n.
- ⁹ Por. T. Flierl, „Denkmalstürze in Berlin. Vom Umgang mit einem prekären Erbe“. w: *kritische berichte. Zeitschrift für Kunst- und Kulturwissenschaften*, nr 3/1992, s. 45-52, tutaj s. 47.
- ¹⁰ Por. H. Staroste, „Politische Denkmäler in Ost-Berlin im Spannungsfeld von Kulturpolitik und Denkmalpflege. Ein Bericht zur Arbeit der »Kommission zum Umgang mit den politischen Denkmälern der Nachkriegszeit im ehemaligen Ost-Berlin«“ w: *Bildersturm in Osteuropa. Die Denkmäler der kommunistischen Ära im Umbruch*. München 1994. s. 84-86, tutaj s. 84.
- ¹¹ Por. P. Roettig, „Sprechende Denkmäler. Von der Inschrift zum Graffito. – Formen des Denkmalkommentars.“ w:

- kritische berichte. Zeitschrift für Kunst- und Kulturwissenschaften*, nr 3/1992, s. 75-82, tutaj s. 75. por. także M. Rüter, „Das Berliner Lenin-Denkmal.“ w: *kritische berichte. Zeitschrift für Kunst- und Kulturwissenschaften*, nr 3/1992, s. 36-42.
- ¹² H. Staroste, op. cit. s. 85.
- ¹³ Por. „Kampfgruppen der Arbeiterklasse“ w: *Enzyklopädie der DDR*, s. 8651-8658. Berlin 2004. (Digitale Bibliothek, Band 32).
- ¹⁴ Por. T. Flierl, op. cit., s. 49 n
- ¹⁵ Na temat kultu Thälmana w NRD por. A. Leo, „Stimme der Faust und Nation...« – Thälmann-Kult kontra Antifaschismus“. w: J. Danyel (red.) *Die geteilte Vergangenheit. Zum Umgang mit Nationalsozialismus und Widerstand in beiden deutschen Staaten*. Berlin 1995. s. 205-211.
- ¹⁶ Por. U. Puvogel/M. Stankowski: *Gedenkstätten für die Opfer des Nationalsozialismus. Eine Dokumentation*. Band II. Bonn 2000. s. 136n
- ¹⁷ Por. tamże, s. 54-55.

STANISŁAW KOWALSKI

Odbudowa gotyckiego kościoła w Żarach (Polityka wyznaniowa PRL a ochrona zabytków sakralnych)

Żary są jedynym miastem na Środkowym Nadodrzu, które w czasie drugiej wojny światowej przed 1945 r. ucierpiało z powodu alianckiego ataku lotniczego. W wyniku nalotu amerykańskich bombowców 11 kwietnia 1944 r. zrujnowana została duża część starego śródmieścia, w tym otoczenie kościoła farnego. Bomba, która spadła na świątynię, zniszczyła część sklepień, a wywołany tym podmuch zmiotł całe pokrycie dachowe. Skutki uszkodzenia spowodowały nie tylko wyłączenie tej budowli z użytkowania do końca wojny, ale dotkliwie wpłynęły na jej los po roku 1945. Długotrwałe starania Kościoła o przejęcie i odbudowę zabytku oraz piętrzone przeciw temu przez administrację państwową przeszkody, ujawniają charakter polityki PRL wobec religii, w tym kwestii związanych z ochroną zabytków sakralnych. Na włączonych do Polski terenach zachodnich i północnych, z racji ich specyfiki demograficznej, a w odniesieniu do Kościoła sytuacji prawnej, oblicze tej polityki rysowało się szczególnie jaskrawo.

W pierwszych latach po wojnie, w związku z pilną potrzebą zasiedlenia nowych obszarów, „władza ludowa” nie przeszkadzała w samorzutnym zajmowaniu świątyni przez napływającą ludność polską. Nierzadko starostowie sami występowali z inicjatywą tworzenia

parafii katolickich. Na przykład Pełnomocnik Rządu na obwód 40 Żary, pismem z dnia 15 listopada 1945 r., prosił Administraturę Apostolską we Wrocławiu o przysłanie duchownych, zapewniając, że „zabezpieczy zaprowiantowanie”¹. Życzliwość dla Kościoła wykazywał też w tamtym czasie starosta gorzowski². Przejawy łagodności skończyły się w 1948 r., co wyraźnie pokazują dokumenty archiwalne dotyczące parafii Żary. Nad wszelką działalnością księży, w tym oczywiście remontami zabytkowych świątyni, wprowadzony został polityczny wręcz nadzór, sprawowany przez Wydział do Spraw Wyznań. Bez zgody tego organu, ulokowanego w strukturze organizacyjnej Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej (PWRN), faktycznie zaś stanowiącego agendę Urzędu Bezpieczeństwa (UB) – Służby Bezpieczeństwa (SB), nie wolno było nawet naprawiać szkód spowodowanych żywiołem. W sprawach dotyczących budowli zabytkowych z wydziałem tym mogła kontaktować się wyłącznie Kuria.

Przez rok po zakończeniu wojny w mieście Żóraw, jak początkowo nazywały się Żary, nie było księdza, a posługi duchowe sprawowali ks. Kazimierz Klee z Lipinek Łużyckich i ks. Maciej Sieńko z Bieniowa. Duchowni ci przybyli tutaj z zabranych Polsce tere-



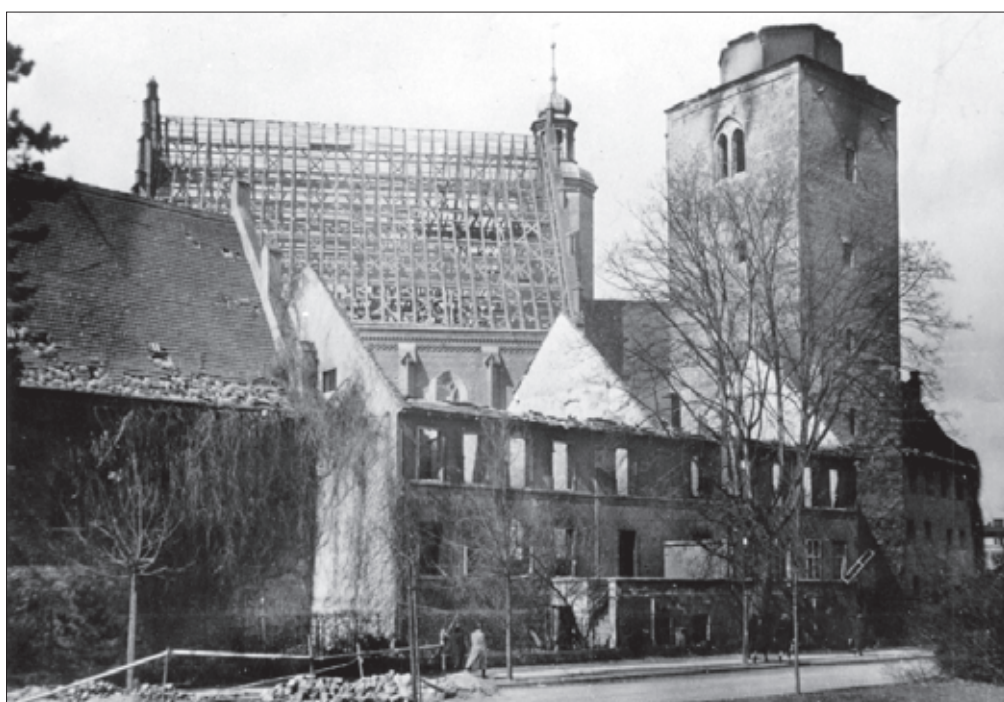
Fara w Żarach. Widok przed nalotem.
Ze zbiorów Zb. Brzezińskiego.

nów wschodnich, wraz z ludnością tamtejszych wsi. Osiedlająca się w Żarach społeczność polska zajęła ocalały z nalotu kościół katolicki, wzniesiony w latach 1914-1917, ale po kilku latach budowla ta nie zaspokajała już potrzeb narastającej liczbie wiernych, co nasywało myśl o wyremontowaniu uszkodzonej fary.

Pierwszym proboszczem parafii żarskiej został ks. Józef Swajka. Po niespełna trzech miesiącach zastąpił go ks. Eweryst Gałązka, pół roku później aresztowa-

wany. Pierwszym, który zauważył potrzebę przejścia i odbudowy fary był kolejny proboszcz - ks. Stanisław Bilski, sprawujący tę funkcję w latach 1947-1948. Wkrótce po objęciu parafii informował on Kurię, że wystąpił w tej sprawie do Urzędu Wojewódzkiego we Wrocławiu. Prosząc swe zwierzchnictwo o poparcie wniosku, podawał, że świątynia jest wprawdzie uszkodzona lecz nadaje się do remontu i to pilnego, żeby zapobiec dalszej destrukcji³. W kolejnym piśmie do władz kurialnych ks. Bilski alarmował, że o farę zabiegają polscy ewangelicy „cieszący się poparciem władzy”. Dodawał, że kościół pochodzi z 1207 r., zbudowali go więc katolicy, a w ręce luteran przeszedł dopiero w XVI w. Obawy proboszcza sprawdziły się, bo w 1948 r. mała ewangelicka gmina wyznaniowa była już w posiadaniu świątyni. Ponieważ nie było jej stać na remont tak dużego obiektu, proponowała wydzierżawienie go parafii katolickiej⁴.

Przez wiele następnych lat zabytkowa budowla niszczała, a zabiegi parafii i Kurii o jej uzyskanie pozostawały bezowocne. Wydział do Spraw Wyznań stosował metodę gry na zwłokę, obiecując rozpatrzenie sprawy z roku na rok. Pisma interwencyjne, kierowane do Ministerstwa Ziem Odzyskanych, Ministerstwa Administracji Publicznej i innych urzędów centralnych, wracały nieodmiennie do Wydziału Wyznań z adnotacją „w celu załatwienia według kompetencji”.



Fara w Żarach
po alianckim
nalocie.
Ze zbiorów
Zb. Brzezińskiego.



Fara w Żarach. Fasada. Fot. Zb. Brzeziński (2002)

W 1948 r. Wojewódzki Konserwator Zabytków uzyskał z Ministerstwa Kultury i Sztuki pieniądze na zabezpieczenie kościoła farnego w Żarach. W następnym roku zabytek miał już pokrycie dachowe, a Kuria Arcybiskupia Wrocławska wystąpiła do Prezydium WRN w Zielonej Górze z kolejną prośbą o jego przekazanie, argumentując, że wymaga dalszej odbudowy i należytego utrzymania przez stałą konserwację⁵. W aktach brak pisemnej odpowiedzi na ten wniosek. Można się tylko domyślać, że Kurii przekazana została ustnie obietnica rozpatrzenia sprawy w roku następnym. Tymczasem w maju 1960 r. w Zielonej Górze wybuchły zamieszki uliczne w proteście przeciw siłowemu przejęciu przez władze Domu Katolickiego⁶. W rezultacie nastąpiło lokalne zaostrezenie kursu wobec Kościoła, a w efekcie tego powstała sławetna lista 113 obiektów sakralnych do wyburzenia, wśród których znalazła się również żarska fara. Wniosek, z załączoną listą budowli, podpisany przez ówczesnego wojewodę Jana Lembasa, trafił, za pośrednictwem Urzędu do Spraw Wyznań w Warszawie, do Ministerstwa Kultury i Sztuki. Wykaz proponowanych do rozbiórki obiektów opublikował Jan



Fara w Żarach. Wnętrze. Fot. Zb. Brzeziński (2006)

Muszyński⁷. Tutaj warto tylko podkreślić, że obok omawianego kościoła znalazły się tam inne, czołowe w skali kraju zabytki, takie jak sześć kościołów, włącznie z kolegiatą w Głogowie, fara w Gubinie, zespół pocysterski w Gościkowie, kościół parafialny w Ośnie Lubuskim, zespół klasztorny franciszkanów i kościół poewangelicki we Wschowie oraz cenne zabytki żagańskie – klasztor poaugustiański, kolegium jezuitów i kaplica Bożego Grobu.

Trudno dziś rozsądzić, jak potoczyłyby się losy wielu z tych obiektów, w tym fary w Żarach, gdyby nie premyślna akcja ówczesnego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków – Jana Muszyńskiego. Kiedy przekonał się o bezradności Zarządów Muzeów i Ochrony Zabytków, poprosił o pomoc znajomego z Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk. Jerzy Pietrusiński, występując w charakterze eksperta, po przeprowadzonej wizji 113 obiektów, poza nielicznymi, określił je jako bardzo cenne kulturowo i historycznie. Dodatkowo użył ważkiego wówczas stwierdzenia, że rozebranie takich zabytków dałoby wodę na młyn dla niemieckich rewizjonistów. Ten użyty z premedytacją, celny politycznie argument, w połączeniu z autorytetem

placówki, którą rzeczoznawca reprezentował, podkopały mocno burzycielskie propozycje wojewody. Wandalski pomysł nie zupełnie jednak spalił na panewce, bo nie ustąpiły władze Głogowa, które tak długo nękały Ministerstwo Kultury i Sztuki, śląc skargi do centralnych władz politycznych i rządowych, aż spełniło ono część żądań. Ministerstwo dało zgodę na rozbiórkę czterech zrujnowanych świątyń, wyrażając jednak sprzeciw na wnioskowane zburzenie kolegiaty oraz kościołów św. Mikołaja i Bożego Ciała.

Uchroniona przed rozbiórką fara żarska, zabezpieczona wprawdzie przez wyremontowanie dachu, pozostawała jednak wciąż zagrożona z racji opuszczenia, a prośby Kurii o jej przejęcie, aparat władzy wciąż odrzucał. Wręcz na przekór, w 1963 r. budowlę przekazano parafii polsko-katolickiej, która, podobnie, jak wcześniej gmina ewangelicka, ze względu na małą liczbę wiernych, nie była w stanie ani dokończyć odbudowy ani utrzymać tak dużej świątyni. Porażony decyzją władzy, ks. Władysław Puszczynski, ówczesny proboszcz polsko-katolickiej wspólnoty wyznaniowej, pojawił się w moim biurze, prosząc o zgodę konserwatorską na wydzielenie do zagospodarowania części prezbiterialnej kościoła. Tłumaczył, że starał się o przydział małego kościoła św. Ducha, używanego jako magazyn, a przez złośliwość władzy otrzymał budowlę na miarę katedry. Przyzwolenie na użytkowanie tylko części fary ks. Puszczynski otrzymał, bo nawet tak skromny gospodarz stwarzał jakąś gwarancję bezpieczeństwa dla zabytku i jego dalszego trwania.

Pomimo zaistniałej sytuacji Kościół nie ustawał w wysiłkach o przejęcie świątyni. Duże nadzieje zrodziły się po grudniowym przełomie politycznym 1970 r. Istotnie wiele parafii otrzymało wówczas opuszczone dotąd świątynie, ale nie w Żarach. Odmowa przekazania fary uzasadniana była teraz twierdzeniem, że obiekt ma już właściciela. Żeby przełamać impas proboszcz, ks. Tadeusz Demel, zwrócił się za pośrednictwem Kurii o przekazanie nie całej budowli lecz tylko nieczynnej części nawowej⁸. W warunkach znaczącej już odwilży w stosunkach Kościół – państwo, zabrakło argumentów na odmowę i w roku 1973, po 26 latach starań parafia otrzymała zdewastowany wewnętrznie korpus fary.

Wraz z rozpoczęciem prac remontowych, ks. Demel podjął mozolne starania o pozyskanie części prezbiterialnej, po dwu latach zwieńczone sukcesem. Nie przyszedł on łatwo, bo wymagał przeprowadzenia



Żarska fara, ściana boczna. Fot. Zb. Brzeziński

kapitalnego remontu dawnego kościoła szpitalnego św. Ducha, za który parafia narodowa zgodziła się opuścić prezbiterium fary⁹. Finał odbudowy kościoła farnego oznaczał utworzenie w mieście drugiej parafii, która otrzymała wezwanie Najświętszego Serca Pana Jezusa. W tym czasie Żary przeszły już z diecezji wrocławskiej do gorzowskiej, zatem dnia 16 czerwca 1980 r. konsekracji odbudowanej świątyni dokonał ks. biskup Wilhelm Pluta.

Przed uszkodzeniem w 1944 r. i późniejszym zdewastowaniem, wewnątrz kościoła miało wyposażenie barokowe z okresu po pożarze w 1684 r. Ewangelicy, którzy władali świątynią od roku 1524 owinęli wówczas nawę



Wnętrze fary. Detal. Fot. Zb. Brzeziński (2006)

główną emporami. Po wojnie część wyposażenia wywieziono z Żar, a empory zostały zniszczone. Odbudowanym nawom przywrócono dawne, właściwe gotykowski wysmukłe proporcje wnętrza, bez empor.

Nowo powstałą parafię przejął ks. Tadeusz Kleszcz, dotychczasowy proboszcz parafii w pobliskim Grotowie. Otrzymał świątynię odbudowaną, pozbawioną jednak wyposażenia i plebani, której budowa uzależniona była znowu od zgody Wydziału do Spraw Wyznań. Księżda Kleszcza znałem od lat, bo miał w parafii cztery zabytkowe kościoły i wszystkie wyremontował, dbając aby nie uszczuplić ich wartości zabytkowych. Przed rozpoczęciem prosił zawsze o wizję lokalną i określenie warunków konserwatorskich, które skrupulatnie zapisywał i ich przestrzegał. Zabiegał o to, żeby w tych sprawach nie prowadzić korespondencji, a że był człowiekiem niezwykle ujmującym i nie „psuł” zabytków, jakoś bez oporu na to przystawałem. Zapewniał mnie, że zezwolenia ma na wszystko, ale „papiery gdzieś się zapodziały”. Zacząłem przypuszczać, że roboty prowadzone są „na dziko”, co potwierdziło się podczas któregoś pobytu służbowego w Grotowie, gdy opodal kościoła ujrzałem nową plebanię, której jeszcze niedawno nie było. W tamtych czasach coś takiego graniczyło z cudem, bo domy budowane były latami. Widząc moje zdumienie, ksiądz ujawnił swoją metodę działania. Zwierzył się, że nigdy nie zgłasza zamierzonych robót do planu Kurii, bo to nastęrcza ogrom kłopotów. O tym co chcę robić – wyłuszczył – mówię głośno z ambony, chwając władzę, że wyraziła na to zgodę. Usypiam w ten sposób donosicieli. Drugą ważną rzeczą jest czas prowadzenia prac budowlanych i ich organizacja. Roboty planuję zawsze na czas kanikuły, czyli w miesiącach lipiec – sierpień. Wtedy urzędnicy nie jeżdżą w teren, zwłaszcza w takie bezdroża, jak parafia Grotów. Gdy chodzi o plebanię, to przygotowanie na jej budowę trwało latami, a materiały gromadzone były nie na placu budowy lecz w obejściach parafian. Gdy budowa ruszyła każdy z nich wiedział, którego dnia ma dostarczyć cegłę, cement, czy drewno u niego przechowywane. Prace trwały od świtu do zmierzchu, wystarczyły więc dwa miesiące by obiekt stanął.

Żary to jednak nie Grotów i tutaj wypróbowane metody budowy plebani nie mogły wchodzić w rachubę. Inwestycja znalazła się w planie gorzowskiej Kurii, przedłożonym Wydziałowi Wyznań. Istniało przekonanie, że będzie zgoda na budowę obiektu na



Wnętrze fary. Detal. Fot. Zb. Brzeziński (2002)

miejscu starej plebani, wyburzonej po nalocie bombowym. Gdy proboszcz otrzymał opinię konserwatorską, że projektowany tam budynek nie może przekroczyć dwóch kondygnacji, uznał, że nie rozwiąże to potrzeb lokalnych parafii. Podjął starania o przekazanie sąsiadujących z kościołem dwóch zabytkowych domów, nie użytkowanych. Władze miejskie, które nie miały pieniędzy na remont, chętnie się ich pozbyły. Ks. Kleszcz szybko uporał się z remontem kamienic, a w niedługim czasie zbudował również plebanię. Dzięki temu w cennym architektonicznie otoczeniu świątyni przywrócony został odpowiedni ład przestrzenny.

Począwszy od roku 1970, polityka państwa wobec Kościoła, przynajmniej w kwestiach remontowo-budowlanych, przybrała znacznie łagodniejszy charakter. Bez zmian pozostały natomiast warunki zaopatrzenia rynku w materiały budowlane, nadal podlegające urzędowej reglamentacji. W opublikowanych wspomnieniach ks. Tadeusz Demel pisze o powodzeniach i kłopotach w odbudowie fary, o dobrych i kiepskich rzemieślnikach, ofiarnych i życzliwych osobach nie tylko z kręgu parafian, niewiele zaś na temat trudów w pozyskaniu materiałów budowlanych¹⁰. Jak uciążliwa była to sprawa zwierzał się w rozmowach ks. Tadeusz Kleszcz. Na przykład, nie mógł znaleźć zakładu stolarskiego na zrobienie dębowych ławek do kościoła, bo żaden nie dysponował tarcicą, a z powierzonego surowca bał się robotę wykonywać, jeśli zleceniodawca nie przedłożył dokumentu poświadczającego urzędowy przydział drewna. Na taki przydział w potrzebnej ilości 50 m³ ksiądz nie mógł nawet marzyć. W sukurs przyszedł nadleśniczy z Przewozu, który podpowiedział, że reglamentacją nie są objęte małe ilości surowca dla osób fizycznych.

Pomogli dawni parafianie księda z Grotowa, Bogumiłowa, Piotrowa i Strzeszowic. Każdy z rolników, którzy otrzymali przydziały po pół kubika drewna dę-



Wnętrze fary. Detal. Fot. Zb. Brzeziński (2006)

bowego, napisał oświadczenie, że po namyśle zrezygnował z zamiaru wykonania mebli, w związku z czym postanowił przydzielony materiał odstąpić parafii rzymsko-katolickiej w Żarach. 50 kilo mosiężnych śrub do przymocowania ławek przywiózł ksiądz osobiście ze Stanów Zjednoczonych, gdzie był na za-

proszenie polonijnych parafii. „Zdobywanie”, jak się w owych czasach określało zwykły zakup, innych materiałów budowlanych, to odrębna opowieść.

Kościół farny NMP, a obecnie pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa w Żarach, którego powojenne losy zarysowane zostały wyżej, powstał na zrębach budowli romańskiej w XIV-XV w. Reprezentuje wysokiej klasy architekturę gotycką, odznaczającą się czystością stylową i harmonijnymi proporcjami poszczególnych członów. Bryła świątyni stanowi dominujący akcent w panoramie miasta.

¹ Archiwum Diecezjalne w Zielonej Górze, teczka Żary-kościół Wniebowzięcia NMP, 1945-1968 (dalej AD), pismo Starosty żarskiego do Administratury Apostolskiej we Wrocławiu.

² Z. Czarnuch, *Oswajanie krajobrazu, polscy osadnicy w dorzeczu Warty*, w: *Wokół niemieckiego dziedzictwa kulturowego na Ziemiach Zachodnich i Północnych*, Poznań 1997, ss. 185-186.

³ AD, pismo ks. Stanisława Bilskiego z dn. 14.03.1947 r. do Kurii Archidiecezjalnej Wrocławskiej.

⁴ Ibidem, pismo ks. Bilskiego z dn. 14.07.1948 r. do Kurii.

⁵ Ibidem, pismo Kurii Biskupiej z dn. 25.09.1959 r. do PWRN w Zielonej Górze.

⁶ T. Dzwonkowski, S. Jankowiak, F. Leśniak, Cz. Osękowski (red.), *Konflikt o Katolicki Dom w Zielonej Górze w dniu 30 maja 1960 r. w świetle dokumentów*, Poznań 2006.

⁷ J. Muszyński, *Z doświadczeń w służbie konserwatorskiej*, w: *Wokół niemieckiego dziedzictwa kulturowego na Ziemiach Zachodnich i Północnych*, op. cit., ss. 231-256.

⁸ AD, pismo Kurii Arcybiskupiej Wrocławskiej z dn. 3.02.1973 r. do PWRN w Zielonej Górze.

⁹ T. Demel, *Wspomnienia proboszcza parafii NMP w Żarach w latach 1964-1988*, Żary 1992.

¹⁰ Ibidem.

MIROŚLAW PECUCH, MONIKA WILK

Cerkwie na Ziemiach Zachodnich i Północnych

Ziemie Zachodnie i Północne to terytorium, na którym po II wojnie światowej doszło do zjawiska zderzenia kultur. W wyniku powojennych migracji nastąpiła niemal całkowita wymiana ludności. Ziemie te zostały na nowo skolonizowane głównie przez Polaków pochodzących z różnych stron dawnej i obecnej Rzeczypospolitej. Osiedlili się również przedstawiciele różnych niepolskich grup etnicznych. Pozostała także

część Niemców. Zetknęli się w ten sposób przybysze ze Wschodu i Zachodu, spotkały się odmienne kultury, nawyki. Diametralnie zmieniła się struktura etniczna i wyznaniowa. Nowością na tych terenach stały się wspólnoty wyznawców wschodniego chrześcijaństwa, a mianowicie – grekokatolików i prawosławnych.

Wspólnej genezy obu tych wyznań powinno się szukać w dwóch wydarzeniach z odległej przeszłości,



Barlinek – zdjęcie cerkwi pod wezwaniem Zaśnięcia Najświętszej Bogurodzicy. Fot. M. Wilk (2007)

mianowicie w słowiańskiej misji świętych Cyryla i Metodego oraz w chrzcie Rusi Kijowskiej przyjętym za pośrednictwem księcia Włodzimierza Wielkiego w 988 r. Odtąd chrześcijaństwo obrządku wschodniego integralnie związało się ze Słowiańszczyzną Wschodnią. Wielka Schizma Wschodnia z 1054 r. spowodowała trwający do dziś rozłam między Kościołem Wschodnim i Zachodnim. Podzielone Kościoły podejmowały próby przywrócenia zerwanej jedności, żadna jednak nie zakończyła się całkowitym sukcesem. W 1596 r. doszło do podpisania Unii Brzeskiej, w wyniku której Cerkiew Prawosławna na Białorusi i Ukrainie przyjmowała zwierzchność papieża przy jednoczesnym zachowaniu rodzimego obrządku, tradycji i liturgii. Do pełnej jedności jednak nie doszło, na terenie Rzeczypospolitej działały bowiem odtąd dwie Cerkwie: Zjednoczona i Niezjednoczona. W 1691 r. do Unii przystąpiła diecezja przemyska. W XIX w. Cerkiew Zjednoczona została całkowicie zlikwidowana na obszarach będących pod panowaniem rosyjskim, przetrwała głównie na terenie Galicji, gdzie przyjęła nazwę Cerkwi Grecko-



Barlinek – zdjęcie wnętrza cerkwi pod wezwaniem Zaśnięcia Najświętszej Bogurodzicy. Fot. M. Wilk (2007)

katolickiej. 8 marca 1946 r. we Lwowie na tzw. „Soborze Zjednoczeniowym” Cerkiew Greckokatolicka została zlikwidowana i włączona do Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej – 26 czerwca 1946 r. aresztowano biskupa przemyskiego Jozafata Kocyłowskiego oraz jego sufragana Hryhorija Łakotę, których przekazano władzom sowieckim. Obaj zostali zamordowani w katowniach NKWD. Cerkiew Greckokatolicka legalne istnienie mogła rozpocząć dopiero z początkiem lat dziewięćdziesiątych

Pierwsze parafie prawosławne obejmujące rozproszonych wiernych przybyłych w 1945 r. z dawnych Kresów Wschodnich powstały w latach 1945-1946 w Pile, Szczecinie, Olsztynie, Gdańsku, Wrocławiu, Słupsku. W Pile ks. L. Byczuk obowiązki proboszcza sprawował od 1 lipca 1945 r., parafia prawosławna w Szczecinie istniała przed 10 maja 1946 r., 10 maja 1946 r. powołano parafię dla Olsztyna i Ostródy, 30 czerwca 1946 r. dla Gdańska, 15 października 1946 r. Wrocławia, 30 grudnia 1946 r. Słupska.¹ Napływ wschodnich chrześcijan narodowości ukraińskiej związany był z deportacyjną akcją „Wisła” z 1947 r. w wyniku której z Łemkowszczyzny, zachodniej Bojkowszczyzny, Nadsania, Chełmszczyzny i Podlasia wysiedlono na zachód i północ Polski około 150 tys. osób.² Ponad 60 % tej ludności było wiernymi Ko-

ścioła Greckokatolickiego, pozostali Prawosławnego (głównie na Chełmszczyźnie i Podlasiu oraz części Łemkowszczyzny).

Po deportacji na zachód i północ wysiedleńcom najbardziej brakowało cerkwi, miejsca, gdzie mogliby się swobodnie modlić w swoim języku. Jak pisał W. Mokry w artykule „Dzisiejsza droga Rusina do Polski”: „Chcieli mieć to swoje centrum życia duchowego, jakim była dla nich cerkiew. Marzyli o tym, aby po sześciu pracowitych dniach świętować w pełni siódmy dzień, by nie ściszać głosu przy nuceniu ojczystych pieśni, na co byli skazani po przesiedleniu. Byli tam przecież ludźmi drugiej kategorii, którzy nie przyszli dobrowolnie na Ziemię Odzyskane, nie czuli się u siebie”³. Do 1956 r. Kościół Greckokatolicki nie miał żadnych możliwości działań, stąd przesiedleńcy spotykali się początkowo przy kościołach rzymskokatolickich. Jednakże ze względu na obcość liturgii, kalendarza świąt oraz języka liturgicznego ich uczestnictwo w polskich nabożeństwach nie było początkowo w pełni autentyczne. Do tego nierzadko dochodziła nieprzychylność gospodarzy kościołów. Dlatego też w okresie, kiedy funkcjonował zakaz odprawiania nabożeństw greckokatolickich (do 1956 r.), częste były przypadki wspólnego modlenia się w domach, odpra-



Gorzów Wlkp. – zdjęcie wnętrza cerkwi pod wezwaniem Narodzenia Bogurodzicy. Fot. M. Wilk (2007)

Gorzów Wlkp. - zdjęcie
cerkwi pod wezwaniem
Narodzenia Bogurodzicy.
Fot. M. Wilk (2007)



wiania Służb Bożych bez udziału księdza, majówek, śpiewania psalmów. Tradycyjna łemkowska rodzina była bardzo pobożna. Bardzo ważnymi elementami życia rodzinnego było wspólne codzienne modlenie się na głos i czytanie Pisma Świętego, zwłaszcza *Psałtaria (Psalterza)* i *Apostoła (Listów Apostolskich)*. Szczególnego wymiaru nabrało ono po przesiedleniu, kiedy to na nowym terenie nie było żadnej cerkwi. W Lipkach Wielkich w rodzinie H. „taka była tęsknota za naszym, że nasz tato zbierał nas wszystkich, klękaliśmy przed obrazem i wspólnie modliliśmy się. Tato śpiewał nam Służbę Bożą, Jewanhelije i Psaltery”. Podobnie było w Modle – „Jak przyjechaliśmy, był w Modłej kościół ewangelicki, ale zamknięty. Chodziliśmy do kościoła rzymskokatolickiego. Mój tato odprawiał msze w domu, na głos msze odprawiał. Ja byłam ciekawa i nauczyłam się. Chodziliśmy na majówki do Hojniaka, taka była tęsknota za naszym, wszyscy przychodzili”⁴. Były jednak również przypadki odprawiania przy większych świętach przez rzymskokatolickich księży mszy „po polsku z ukraińskimi śpiewami” – tak było np. w Osiecku k. Bledzewa czy w Gromadce w Legnickiem. „Mogliśmy śpiewać po swojemu i już było trochę swojsko” – wspominają uczestnicy tych nabożeństw.

Gdy tylko stało się to możliwe, powstawały na nowych terenach cerkwie. W latach 1947-48 utworzono pierwsze parafie prawosławne obejmujące przesiedleńców. Półlegalna działalność Kościoła Greckokatolickiego była możliwa dopiero po 1956 r.

Na cerkwie obu wyznań adaptowano obiekty różnego wcześniej przeznaczenia. Najczęściej były to poewangelickie kościoły (np. prawosławne cerkwie w Barlinku, Przemkowie, Ługach i Brzozie, greckokatolickie w Międzyrzeczu, Modle), dawne kaplice cmentarne (greckokatolicka cerkiew w Gorzowie, prawosławna w Torzymiu) czy też budynki mieszkalne (cerkiew prawosławna w Gorzowie do 1995 r.). Przemianie tych budowli w cerkiew bardzo często towarzyszyła oprawa symboliczna. Dla przedstawienia procesu symbolicznej przemiany obiektu przestrzennego w cerkiew warto zacytować relację Semana Madzelana na temat Michałowa w Legnickiem: „Dziwna to była cerkiew (...). Do niewielkiego pomieszczenia między mieszkaniami dwóch gospodarzy – Wania Dubeca i Wania Kaniczuka (...) – zesłi florynczanie i powiedzieli: to będzie nasza cerkiew. I tak zostało do dziś. Jest cerkiew, lecz co to za cerkiew bez dzwonów.

Skąd jednak wziąć choćby jeden niewielki dzwon. Znaleźli go jednak na stercie złomu (...) Przynieśli i zawiesili na czterech słupach telefonicznych pod ścianą cerkwi i nazwali to miejsce „dzwonnica” (...) Pośród zgromadzonych wokół niewielkiego krzyża, postawionego na stole pośrodku podwórek dwóch gospodarzy, nie ma Rusinów ani Ukraińców, nie ma unitów ani prawosławnych, są tylko ludzie, którzy mówią jednym językiem, którym droga jest tradycja przodków (...). Idą dziś w pierwszej procesji wokół cerkwi na cudzej ziemi, jeśli cerkwią można nazwać ten krzyż pośrodku podwórza dwóch gospodarzy⁵ Obecnie w Michałowie stoi nowa murowana cerkiew wybudowana w łemkowskim stylu.

Wnętrza przystosowywano do potrzeb obrządku wschodniego, nierzadko stawiano mniej lub bardziej rozbudowane ikonostasy. Warto odnotować wykorzystanie w obiekcie neogotyckim, poewangelickim prospektu organowego do zamontowania ikonostasu w cerkwi prawosławnej w Ługach, gm. Dobiegniew. Szczególnego wymiaru nabywa niedzielna przemiana kościoła w cerkiew w świątyniach, z których grekokatolicy korzystają wspólnie z rzymskokatolikami – cotygodniowe ustawianie przed ołtarzem przenośnych ikon Chrystusa i Bogurodzicy, rozkładanie wyszywanych ręczników i mówienie „idziemy do cerkwi”.

Funkcjonowanie latami w obcym i obojętnym środowisku cerkwi, powstałych na bazie obcych kulturowo obiektów przestrzennych, spowodowało ustanowienie namiastki „swego świata”. Okolica, gdzie była najbliższa cerkiew, stawała się w końcu „swoją”, można było bowiem znaleźć miejsce „sakralnego zabezpieczenia”. Znamienne jest wyznaczenie Łemkini osiedlonej we wsi Modła w Legnickiem, gdzie od 1958 r. w neogotyckim kościele poewangelickim funkcjonuje grekokatolicka cerkiew p.w. św. Kosmy i Damiana: „Cerkiew to dla nas jakby wspólna mama. Tu ślub braliśmy, tu dzieci chrzczone, tu przyjmowały pierwszą komunię świętą. Bardzo nas ta cerkiew łączy, czuję się z nią bardzo swojsko. Kiedy pojedę do Zielonej Góry albo do Legnicy, to nie modli mi się tak dobrze jak tu”⁶.

Najbardziej jednak uderzającym elementem tworzenia przez Ukraińców swojego świata jest budowanie przez nich swoich własnych świątyń, stawianie cerkwi od podstaw. Świadczy to o wrośnięciu w pewien sposób tej ludności w swe lokalne środowiska. Pierwsze świątynie powstały w drugiej połowie lat osiemdziesiątych w Michałowie k. Chocianowa w Le-



Budowa nowej cerkwi w Zielonej Górze.
Fot. M. Tujdowski (2007)

gnickiem oraz Lipinach k. Nowej Soli. Nawiązują one do łemkowskiego stylu w architekturze cerkiewnej, podobnie jak wybudowana w latach dziewięćdziesiątych grekokatolicka cerkiew w Przemkowie. Ponadto poczynając od lat dziewięćdziesiątych wzniesiono prawosławne cerkwie w Gorzowie Wielkopolskim, Głogowie, grekokatolickie w Legnicy, Zamienicach na Dolnym Śląsku, Bytowie, Białym Borze, Człuchowie, Kołobrzegu, Koszalinie na Pomorzu, Giżycku, Kętrzynie, Kruklankach, Lelkowie, Olsztynie.

Biały Bór jest bardzo istotnym miejscem odpustowym dla grekokatolików mieszkających w zachodniej i północnej Polsce. Odpust w Białym Borze jest organizowany co roku z okazji cerkiewnego święta Narodzenia Najświętszej Bogurodzicy (niedziela po 21 września). Grekokatolicka parafia w tej miejscowości powstała 4 września 1957 r., jednakże stałe cotygodniowe nabożeństwa mogły się odbywać dopiero od 18 października 1959 r. Do dyspozycji parafian została przekazana dawna kaplica cmentarna. Na *praznyk* przybywało początkowo około pięciuset osób, jednak z roku na rok liczba uczestników wzrastała. W 1977 r. naliczono już pięć tysięcy wiernych, i taki stan utrzymuje się do dnia dzisiejszego. 21 września 1997 r. w Białym Borze konsekrowano nowo zbudowaną cerkiew projektu Jerzego Nowosielskiego.

Zewnętrzna oznaką etnoreligijnej odrębności wschodnich chrześcijan na zachodzie Polski są rów-



Ikonostas w cerkwi w Górowie Iławieckim. Fot. Zb. Mazur.

niez cmentarze. Miejsca pochówku są otaczane czcią i świadczą jednocześnie o ciągłości dziejów grupy i sile identyfikacji z jej wartościami. W niektórych skupiskach przesiedleńczych na Ziemiach Odzyskanych od końca lat pięćdziesiątych zaczęły się pojawiać pierwsze nagrobki wskazujące na pochodzenie pochowanego. Cechy dystynktywne tych grobów to przede wszystkim motyw krzyża trzyramiennego umieszczonego na tablicy nagrobnej, bądź będącego elementem przestrzennym nagrobka oraz napisy w języku ukraińskim lub dialekcie łemkowskim, czasami tylko częściowe – jak zauważył D. Demski, podczas obserwacji cmentarzy na Białorusi, „jednym z wyrazów pamięci o zmarłych jest język napisów nagrobnych”⁷⁷ Większe skupienia nagrobków o wyżej wymienionych cechach znajdują się m. in. w Przemkowie, Modle, Kożuchowie, Torzymiu, Osiecku, pojedyncze nagrobki można spotkać m. in. w Gorzowie, Międzyrzeczu, Goraju koło Przytocznej. Specyficzna sytuacja zaistniała w Torzymiu, gdzie pierwszą zmarłą osobą z akcji „Wisła” była w 1952 r. Anna Worhacz, pochodząca z Florynki. Część miejscowych Polaków nie chciała się zgodzić na pochówek zmarłej na miejscowym cmentarzu. Pochówek odbył się w przeciwnym końcu, w wyniku czego torzyski cmentarz dzieli

się na część „polską” i „łemkowską” (północną). (północną). Szczególnie liczne są „ukraińskie” cmentarze na północnych ziemiach.

Cerkwie na Ziemiach Zachodnich i Północnych wzbogaciły tutejszy krajobraz kulturowy, są jednocześnie świadectwem przywiązania grekokatolików i wyznawców prawosławia do rdzennych dla nich wartości. Ukazują, że przez 60 lat od przesiedlenia na inne ziemie wrosli w nowe środowiska, co nie oznacza, że się w nie wtopili. Odcisnęli piętno na zastanej kulturze i tym samym zbudowali swoją własną przestrzeń kulturową.

M.P.

W Gorzowie Wlkp. początki Parafii Prawosławnej datuje się na 1962 r. Pierwsze nabożeństwa odbywały się w prywatnych mieszkaniach, najpierw w Nowinach Wielkich (20 km od Gorzowa), a potem w Gorzowie w mieszkaniu przystosowanym do odprawiania nabożeństw. W 1989 r. proboszcz Parafii ks. Bazyli Michalczuk rozpoczął budowę cerkwi przy ul. Kostrzyńskiej 2B. Projekt architektoniczny sporządził Wojciech Wójtowicz. Cerkiew leży w zachodniej części Gorzowa, przy drodze na Kostrzyn. Budowla oparta jest na charakterystycznej konstrukcji świątyń bizantyjskich, ma kształt krzyża greckiego u podstawy. Cerkiew jest wysoka na 24 metry, a jej podstawa równa się 24 metrom szerokości i tyle samo długości. Wykonana jest

z cegły licowanej, natomiast dach pokryto blachą miedzianą. Cerkiew ma jedną dużą centralną kopułę i cztery mniejsze po bokach. Wewnątrz cerkwi jest ołtarz oddzielony ikonostasem. Ikony zostały napisane przez szkołę pisania ikon w Bielsku Podlaskim. Wykonano je w stylu XV-wiecznych ikon. Cerkiew powstała dzięki wsparciu finansowemu Księdza Arcybiskupa Jeremiasza zwierzchnika Diecezji Wrocławsko-Szczecińskiej, Funduszu Kościelnego z Urzędu Rady Ministrów, budżetu miasta Gorzowa Wlkp. oraz ze składek parafian. W 1995 r. konsekrowano cerkiew i od tego czasu odbywają się tutaj nabożeństwa. W uroczystej konsekracji wzięli udział: Ksiądz Arcybiskup Bazylej Metropolita Warszawski i Całej Polski, Ksiądz Arcybiskup Adam zwierzchnik Diecezji Przemysko-Nowosądeckiej, Ksiądz Arcybiskup Jeremiasz zwierzchnik Diecezji Wrocławsko-Szczecińskiej oraz Ksiądz Arcybiskup Abel zwierzchnik Diecezji Chełmsko-Lubelskiej. W uroczystości uczestniczył Ksiądz Biskup Adam Dyczkowski zwierzchnik Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej Kościoła Rzymskokatolickiego. Na uroczystość licznie przybyli mieszkańcy Gorzowa oraz goście z całej Polski. Parafia liczy około 50 rodzin.

Od 2005 r. działa prawosławny chór „Sotiria”, dyrygentem jest Aleksander Lewczyszyn. Chór ma na swoim koncie występy w Gorzowie, Barlinku, Ługach a także coroczny „Wieczór Kolęd”. Chór „Sotiria” nagrał swoją pierwszą płytę w 2007 r. Pod opieką proboszcza ks. Bazylego Michalczuka znajduje się także Parafia pod wezwaniem Zaśnięcia Najświętszej Bogurodzicy w Barlinku. Tamtejszy obiekt zlokalizowany jest w północnej części Barlinka na ul. Górnej 7. Kościół wtopiony jest w zbocze, a u podnóża tego wzniesienia ciągnie się niewysoki metrowy mur z głazów narzutowych. Jest to fragment muru obronnego, jeden z nielicznych który przetrwał w Barlinku do dziś. Kościół jest murowaną budowlą wzniesioną na rzucie prostokąta o wymiarach: 15,96 x 10,16 metrów; przykryty wysokim, dwuspadowym dachem. Fasadę stanowi szczyt wschodni. W środku jego rozpiętości usytuowano szerokie, ostrołukowe zamknięte wejście główne z ceglany portal. Po obu stronach portalu rozmieszczono symetrycznie okna, mają one, tak jak okna boczne, kształt ostrołukowy. Świątynię tworzy budowla o konstrukcji murowanej na fundamencie z kamienia łamanego na zaprawie wapiennej. Ściany



Cerkiew Grekokatolicka w Olsztynie. Fot. Zb. Mazur

wzniesiono z cegły wykonanej systemem ręcznym. Świadczą o tym, oprócz różnic w kształcie oraz w wymiarach – trzy razy wyryta data 1873.

Obiekt do 1945 r. należał do diaspory religijnej „Apostolich Gemeinde”, prawdopodobnie był to odłam kościoła staroluterańskiego. Budynek wybudowano w 1873 lub 1874 r. Nieczynny obiekt przejął w 1947 r. Autokefaliczny Kościół Prawosławny. Staraniem parafian kościół otrzymał nowy wystrój wnętrza, między innymi do kościoła trafiły XIX-wieczne ikony ze wsi Kijowiec z Południowego Podlasia.

Te dwa tak różne obiekty są świadectwem wielokulturowej i wielowyznaniowej historii naszych ziem, gdzie współżyją ze sobą wyznawcy różnych religii.

M.W.

¹ K. Urban, *Kościół prawosławny w Polsce w l. 1945-1970*, Kraków 1996, s. 160-161

² Szerzej na temat akcji „Wisła”: *Akcja „Wisła” Dokumenty*. Opracował E. Misiło, Warszawa 1993; R. Drozd, *Droga na zachód. Osadnictwo ludności ukraińskiej na ziemiach zachodnich i północnych w ramach akcji „Wisła”*, Warszawa 1997

³ W. Mokry, *Dzisiejsza droga Rusina do Polski*, „Tygodnik Powszechny” 1981 r., nr 46, s. 2.

⁴ M. Dziewierski, B. Pactwa, B. Siewierski, *Dylematy tożsamości. Studium społeczności łemkowskiej w Polsce*, Katowice, 1992, s. 82

⁵ S. Madzela, *Smak doli*, Nowy Sącz 1986 r., s. 5-7.

⁶ Dziewierski, Pactwa, Siewierski, *Dylematy tożsamości... op.cit.* s. 84

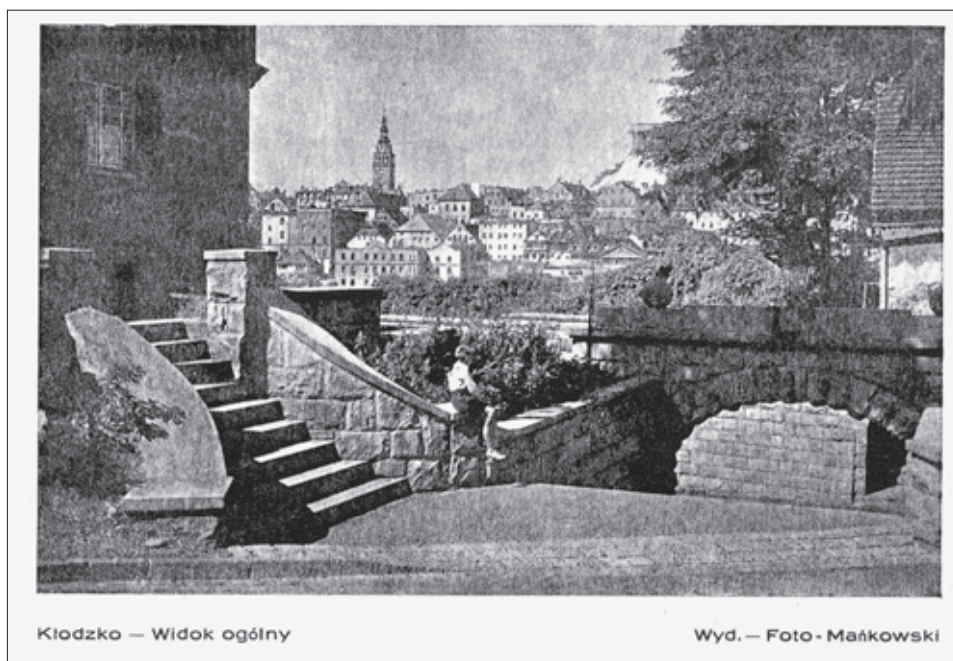
⁷ D. Demski, „Najważniejsze żeby pamiętać...” *Cmentarz jako źródło do badań tożsamości zbiorowej mieszkańców wsi na Białorusi i ich wyobrażeń na temat śmierci*, „Etnografia Polska”, T. XLIV, z. 1-2, Warszawa 2000, s. 84.

Jerzy Mańkowski i jego pocztówki

18 września 1946 roku wysłano z Kłodzka pocztówkę pod adres: Wielmożny Pan Bogdan Michalewicz, Łańcut, Państwowy Urząd Repatriacyjny. Jej nadawcą była, nieznana z nazwiska, pani Joanna. Pocztówka, której lapidarna korespondencja ograniczała się wyłącznie do podania imienia, spełniła w konkretnym przypadku swoją „odwieczną funkcję” – była po prostu znakiem życia. Jej treść można by rozwinąć w zdanie: „Dziękuję za okazaną pomoc, przyjechałam szczęśliwie”. Przedstawienie na awersie, noszące tytuł „Kłodzko – widok ogólny”, uzupełniała informacja: Wyd.-Foto-Mańkowski. Na rewersie powtarza się nazwisko Mańkowski wraz ze skrótem P.A.K.F.D. Kłodzko, który rozszyfrować wypada jako „Polskie Archiwum Krajoznawcze i Fotografii Dokumentarnej”. Pod czarnym stemplem odczytać możemy „Aufnahme und Verlag P..”. W lewym dolnym rogu tekst w języku niemieckim przesłania napis „PRZEDRUK WZBRONIONY”. Nie pomylimy się zatem twierdząc, że wydawca wykorzystał niemiecki papier i kliszę fotograficzną. Wprawdzie interesująca nas pocztówka, wykonana w technice światłodruku, należy do najstarszych tego rodzaju przechodzących przez obieg pocztowy, to jednak wiemy, że zachowało się szereg kart pocztowych, nieco wcześniejszych, za-

opatrzonych stemplem wydawnictwa Mańkowskiego. Są to świetne pod względem technicznym oryginalne odbitki fotograficzne ze znakiem znanej skądinąd firmy I. Poppego o tematyce kłodzkiej. Umieszczony na ich rewersach stempel Kłodzko (!) pozwala datować owe pocztówki na 1945 rok.

Kim zatem był przedsiębiorczy pan Mańkowski? Posiadamy dziś już o nim liczne, niekiedy sprzeczne wiadomości. Nie ulega wątpliwości, że pochodził z Kresów Wschodnich. Urodził się 5 grudnia 1919 roku we Lwowie, gdzie jego ojciec posiadał zakład fotograficzny, zaś on sam studiował z przerwami na Wydziale Mechanicznym Politechniki w latach 1938 – 1944. Podobno 6 lipca 1943 roku przejął po ojcu, lub też uruchomił własny zakład. 17 grudnia tegoż roku zdał egzamin czeladniczy. W 1944 roku pojawia się w Krakowie, gdzie na wniosek z dnia 15 maja 1945 roku uzyskuje kartę rzemieślniczą nr 226/45. W Krakowie miał przez krótki czas prowadzić sklep fotograficzny i laboratorium. Jeszcze w tym samym roku przenosi się do Gliwic, gdzie również zakłada laboratorium fotograficzne. Zapewne w końcu 1945 roku decyduje się osiedzić w Kłodzku na stałe. Wypada przypomnieć, że w tym samym czasie w szczęśliwie ocalałym mieście pojawia się także Bolesław Mecwaldow-



Kłodzko – widok ogólny, Wyd.- Foto Mańkowski (stempel z datą 18.9.46)

Kłodzko – Widok ogólny

Wyd. – Foto - Mańkowski

ski, który po znanym i cenionym w okresie międzywojennym fotografiku Georgu Marxie przejmuje dobrze prosperujący zakład z całym wyposażeniem. Przybywają też do Kłodzka z Kresów nieznanymi bliżej bracia Rusowie (?), uprzednio właściciele zakładów fotograficznych w Truskawcu i Jaśle. Wszyscy wymienieni, jak się miało niebawem okazać, nie stanowili dla młodego, wykształconego lwowianina poważniejszej konkurencji. Mańkowski przejmuje, czy też odkupuje od wspomnianego już Poppego firmę produkującą seryjne pocztówki w oparciu o przebogate, liczące kilka tysięcy negatywów, archiwum Marxa. Firma mieściła się w domu własnym miejscowego, wziętego architekta Andreeasa Ernsta przy ulicy Walecznych 14. W 1947 roku Mańkowski ożenił się, z pracującą u Poppego, Adelajdą Eisner, córką właściciela zakładu kamieniarskiego (nr. Aktu małżeńskiego 223/47). We wspomnianej willi mieszkał i pracował Mańkowski do 1957 roku.

Atmosfera pierwszych, pionierskich lat sprzyjała prywatnym inicjatywom, nikt jednak z osiadłych na Dolnym Śląsku fotografików nie rozwinął tak szeroko zakrojonej i kontynuowanej z niezmiennym uporem działalności jak nasz bohater. W pamięci osób, które znały go osobiście utrwalił się wizerunek eleganckiego, rzutkiego mężczyzny o ujmującej powierzchowności i manierach. Wiele wskazuje na to, że rzeczywiście świetnie sobie radził także w późniejszych niełatwych latach zmieniającej się koniunktury. Przede wszystkim potrafił dla swoich ambitnych planów zyskać instytucjonalnych sojuszników. Jako przewodnik w terenie słynącym z świetnie zachowanych uzdrowisk i licznych atrakcji turystycznych, stał się niebawem aktywnym członkiem Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Znane są sygnowane przezeń pocztówki firmowane przez Kłodzki Oddział Towarzystwa, drukowane w Warszawie w technice wkłęsłodruku, a także publi-



Ratusz Kłodzki – Wyd. J. Poppego, przed 1945 (z przedrukiem)

cowane w serii Ziem Odzyskanych Polskiego Archiwum Krajoznawczego i Fotografii Dokumentarnej. Zasadniczym atutem Mańkowskiego w rywalizacji z coraz liczniejszą, zwłaszcza po 1948 roku, konkurencją było wspomniane archiwum Marxa, którego czuł się pełnoprawnym właścicielem, konsekwentnie we wszystkich edycjach zastrzegającym sobie prawo reprodukcji. Obok znanych już nam, występujących w kilku wersjach stempli (także z podanym wcześniej adresem firmy), wprowadził dyskretny, lecz łatwo utrwalaający się w pamięci znak firmowy, nawiązujący w sposób oczywisty do sygnetu znanego dreźnieńskiego Stengel-Verlag.

W 1950 roku, w serii Biblioteki Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego „Piękno Polski”, ukazał się na-

kładem Naszej Księgarni dość obszerny jak na owe czasy przewodnik autorstwa Wandy Ludwig, w którym nie brak, rzecz oczywista, licznych propagandowych akcentów, tak w samym tekście, jak i komentarzach do ilustracji, jak na przykład w odniesieniu do fotografii orła śląskiego na chrzcielnicy z Bystrzycy Kłodzkiej: „Piastowskie, polskie orły przez długie wieki były suwerennym znakiem Ziemi Kłodzkiej” (!). Materiał ilustracyjny do wydanej w nakładzie 15 tysięcy egzemplarzy publikacji dostarczył nie kto inny, jak właśnie Jerzy Mańkowski (J. Mańkowski, Fotowydawnictwo Krajoznawcze w Kłodzku). W przewodniku spotykamy zdjęcia, których proveniencja nie budzi wątpliwości. Z archiwum Marxa pochodzi między innymi przedstawienie kłodzkiego ratusza, na którego ścianie w pierwotnej wersji znajdował się napis „STADT UND KREISBANK GLATZ”, tym razem starannie wyretuszowany. Nie brak i odpowiedniego komentarza, cytatu z tablicy pamiątkowej – „Sprawiedliwością dziejową Polska odzyskała Kłodzko. Maj r. 1945”. Również i efektowne zdjęcie stanowiska pełnika, chronionej róży kłodzkiej, z której niegdyś Gebirgsverein der Grafschaft Glatz uczynił swój symbol, znane jest nam z przedwojennych kart pocztowych firmy Poppego. Wspomniana publikacja interesująca jest także z innego względu, stanowi bowiem dowód na to, że Mańkowski wykonał szereg zdjęć samodzielnie, o czym świadczą pojawiające się tu i ówdzie polskie napisy i polskie tematy, jak na przykład pomnik Fryderyka Chopina w Dusznikach Zdroju.

W codziennej praktyce wydawniczej zdaje się Mańkowski nie przywiązywać szczególnej wagi do zacierania śladów niemieckiej przeszłości Śląska. Na niektórych pocztówkach wprawne oko bez trudu dostrzeże usunięte po wojnie pomniki, a użycie szkła powiększającego pozwoli nam odczytać niemieckie szyldy, plakaty a nawet numery rejestracyjne samochodów. Podobnie w przypadku wnętrza uzdrowiskowych pawilonów nie mamy problemów z określeniem czasu powstania wykorzystywanych negatywów. Zdobne kwiatami doniczkowymi, otoczone dekoracyjnym kordonem źródło w polanickiej pijalni wód wygląda inaczej niż zapamiętane przez autora w końcu lat czterdziestych minionego wieku. Tych, którzy mieliby wątpliwości przekona napis na szyldziku „Spru(del)” (!), a przecież mamy do czynienia z kartą pocztową rozpowszechnianą w okresie największej aktywności Mańkowskiego, występującego od 1953 roku pod szyl-



Róża kłodzka (ochr. przyr.)

Mańkowski

Róża kłodzka (ochr. przyrody), Mańkowski 1953

dem Spółdzielni Fotograficznej o numerze koncesji 103, wydającej pocztówki w nakładzie 10 tysięcy egzemplarzy w cenie 1.30 z narzutem S.F.O.S. Trzeba przyznać, że nie była to cena wygórowana, w tym samym mniej więcej czasie prywatna firma „Fotoplastyka” – Sopot rozprawiała fotograficzne pocztówki po 1 zł za sztukę plus 10 groszy na Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy. Na licznych kartkach pocztowych przedstawiających między innymi zabytki Wrocławia, oczywiście w ich przedwojennym stanie, Mańkowski nie zawahał się podać numery poniemieckich negatywów, np. Ostrów Tumski – 4789, Katedra – 1188, Portal Katedry – 4852, itd.

Jakość oferowanych przezeń pocztówek jest niejednaka. Pod względem technicznym na najwyższym poziomie utrzymane są niewątpliwie wyroby z zachowanych zasobów firmy Poppego, precyzyjne w rysunku, starannie kopiowane na świetnych, często matowych papierach Agfy. Wraz ze wzrostem popytu, stymulowanego rozwojem zorganizowanych wówczas pracowniczych i ruchu turystycznego, jakość wyrobów Mańkowskiego zdecydowanie się obniża. Ka-



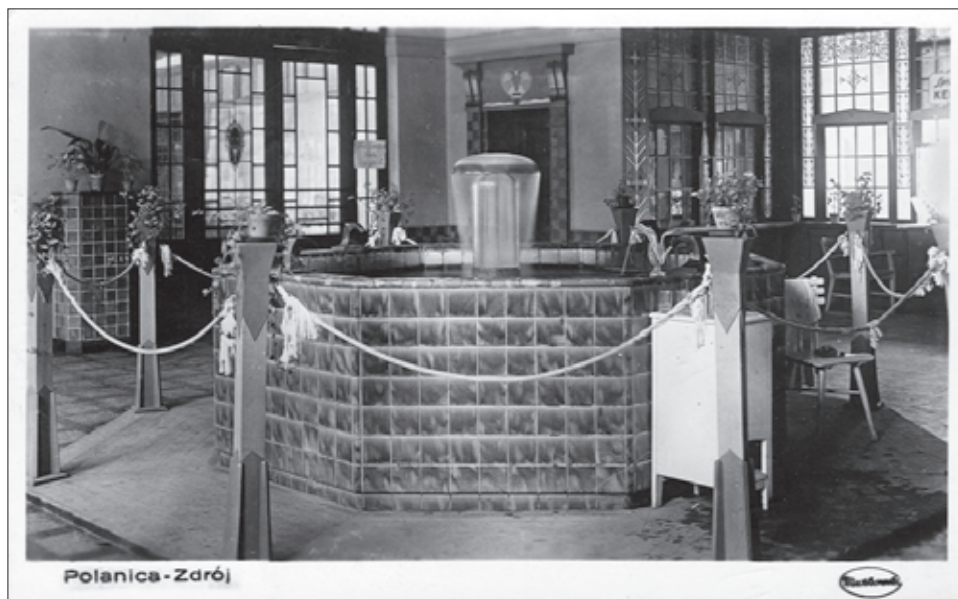
Brzeg – Ratusz

Wyd. – Foto - Mańkowski / 4769

Brzeg – Ratusz, Wyd. - Foto Mańkowski / 4769
Z serii Ziemie Odzyskane, Polskie Archiwum Krajoznawcze i Fotografii Dokumentarnej

drowane z reguły dość niechlujnie, przycinane nie-
dbale, z niewyraźnymi stemplami strony adresowej
tracą wiele z urody niekiedy wręcz znakomitych ne-
gatywów wytrawnego fotografa Georga Marxa.
Mimo to wciąż znajdują nabywców. O ich powodzeniu
decyduje, jak możemy się domyślać, poza sprawną
dystrybucją w miejscowych kurortach i schroniskach,
tematyczna różnorodność. Mańkowski ma do dyspo-

zycji to wszystko, co niedawnymi laty służyło rozśla-
wianiu piękna Ziemi Kłodzkiej poprzez publikacje
i tematyczne serie kart pocztowych wielokrotnie re-
klamowane w czasopismach i kalendarzach między-
wojnia. Są to rozległe panoramy fotografowane we
wszystkich czterech porach roku, wodospady, leśne
uroczyska, malownicze staromiejskie zakątki Kłodz-
ka, Łącka Zdroju, czy Dusznik, skały Gór Stołowych



Polanica-Zdrój

Polanica – Zdrój,
Mańkowski
(stempel z datą
25.10.57)

itd., itd. Mańkowski jest w pewnym sensie monopolistą, który nie obawia się wchodzących na chłonny rynek Ziemi Odzyskanych kolejnych konkurentów w rodzaju Dolnośląskiej Spółdzielni Wydawniczej, czy też wydawnictw centralnych, takich jak Książka i Wiedza, „Kraj”, czy CEPELIA. Nawet pojawiające się systematycznie od końca lat czterdziestych, poświęcone wyłącznie ziemiom zachodnim i północnym serie Cytelnika nie są w stanie mu zagrozić. Dopiero zmierzające do wyrugowania „prywatnej inicjatywy” zmiany w polityce gospodarczej ograniczają, a w ostateczności czynią nieopłacalną dotychczasową jego działalność. Ale nawet w zgrzebnych czasach Gomułki Jerzy Mańkowski potrafi sobie poradzić. W 1957 roku wyjeżdża do Düsseldorfu w celu opanowania technologii obróbki zdjęć barwnych. Po powrocie zaś zakłada w Polanicy, do której przenosi się na stałe, pierwszy podobno w całym kraju specjalistyczny zakład zapewniający mu dostatnią egzystencję. W Polanicy też, w niespełna czterdzieści lat później, w maju 1995, zostaje pochowany. Żona Adelajda wraz z synem Henrykiem dziedziczącym po ojcu tytuł szlachecki i zamiłowanie do fotografii przeniosła się wprawdzie do Republiki Federalnej Niemiec, lecz w ostatecznej woli wyraziła pragnienie powrotu do swojej „małej ojczyzny” i również spoczęła na polanickim cmentarzu.

Fenomen Jerzego Mańkowskiego budzi nasze zainteresowanie nie tyle z racji wyjątkowej operatywności młodego lwowianina, który tak łatwo zaaklimatyzował się na Ziemi Kłodzkiej. Również i nie dlatego, że potrafił wykorzystać przebogate zasoby „zdobycznych” negatywów. Ostatecznie w pierwszych powojennych latach to poniemieckie pocztówki jakże licznych na Dolnym Śląsku renomowanych wydawców były przede wszystkim w powszechnym użyciu. Nie zawsze nawet silono się na zadrukowywanie, czy przekreślanie niemieckich napisów. Wystarczało wprowadzenie nowych nazw: Winiec, Puszczykowo, czy Matejkowice, z czasem zresztą zmienianych. Zdumiewające jest to, że Mańkowski czerpał pełnymi garściami z zasobów Marxa także i wówczas, gdy powszechnie dostępne były w szerokim wyborze pocztówki autorstwa polskich fotografików i to nie byle jakich, żeby wspomnieć choćby Jana Bułhaka. Mańkowski stał się autentycznym znawcą i miłośnikiem Ziemi Kłodzkiej, a przy tym był przecież wcale sprawnym fotografikiem, a jednak... A jednak przez lat kilkanaście setki tysięcy Polaków poznawało ten region



Międzygórze (wodospad), Mańkowski
(stempel z datą 17.8.57)

dzięki obrazom utrwalonym przez niemieckich mistrzów fotografii i, paradoksalnie, zapewne zupełnie bezwiednie oswajało się z „optyką” niedawnych ich mieszkańców. Widać, że propagowana w teorii i praktyce przez wspomnianego mistrza Bułhaka formuła „fotografii ojczystej” nie aż tak bardzo różniła się od niemieckich koncepcji w tym względzie. Jednakże to wszystko uświadomić mogliśmy sobie dopiero po wielu, wielu latach.

Reprodukowane karty pocztowe pochodzą ze zbiorów autora. W gromadzeniu informacji o Jerzym Mańkowskim służyło mi pomocą wiele osób i instytucji. Na tym miejscu chciałbym serdecznie podziękować Krysztynie Toczyńskiej – Rudysz, wieloletniej dyrektor Muzeum Ziemi Kłodzkiej, swego czasu sąsiadce naszego bohatera, oraz panu Waldemarowi Zielińskiemu, znawcy historii dolnośląskiej fotografii, który 15 marca 2000 roku miał okazję przeprowadzić wywiad z synem Jerzego, Henrykiem, czynnym w Monachium, uznanym fotografikiem.

Wokół książki profesora Ulricha Foxa. Esej

U schyłku życia wiele osób upamiętnia swoje biografie na piśmie. Czynią tak z pobudek racjonalnych celem uratowania od zapomnienia nie tylko własnych losów, ale i ważniejszych wydarzeń, których były świadkami lub współtwórcami. Pamiętnikarze ci jednocześnie kierują się często motywami emocjonalnymi, nostalgicznymi, szczególnie wówczas, gdy sięgają do lat dzieciństwa i młodości. Nawet relacje kronikarzy mało lub zupełnie nieznanymi, którzy w historii nie odegrali żadnej znaczącej roli, mają bardzo często cenną wartość historyczną, chociażby dlatego, że z reguły rekonstruują codzienne życie. Bez tych wspomnień o ile uboższa byłaby nasza historia.

Taki charakter, z położeniem nacisku na życie codzienne, posiada najnowsza książka profesora Ulricha Foxa urodzonego w Barczewku (Alt-Wartenburg, Stary Wartembork) na Warmii¹. Ponieważ lektura jego wspomnień wywołała u mnie na zasadzie reakcji łańcuchowej różne skojarzenia, odniesienia, nie tylko te, o których pisałem przed blisko 10 laty², przeto odczułem potrzebę podzielenia się nimi z czytelnikami.

Ulrich Fox, to rocznik 1937, ja 1928. Obecnie – można powiedzieć – należymy do najstarszego, odchodzącego już pokolenia. A zatem, wybijając na pierwsze miejsce wspomnienia Foxa, postanowiłem dokonać fragmentarycznych porównań naszych losów, naszych odczuć, tak wiążących się z wielką historią, jak i odnoszących się do spraw drobnych, jednostkowych.

Jeśli chodzi o różnicę wieku wynosząca 9 lat, to w okresie II wojny światowej miała ona dla nas zgoła inne znaczenie. Wrzesień roku 1939 oraz całą okupację zachowałem w doskonałej pamięci. Natomiast Foxowi niewyraźnie migają w świadomości dopiero żołnierze niemieccy z 1941 roku maszerujący na Związek Sowiecki. Obaj natomiast odwołujemy się nie tylko do osobistych przeżyć, ale również do bardziej lub mniej znanych ogólnych wydarzeń historycznych.

Jak większość autorów wschodniopruskich, również Fox nie zwraca zbyt dużej uwagi na wydarzenia wojenne z najbliższego sąsiedztwa Warmii i Mazur, czyli Polski we wrześniu 1939 r. i w późniejszych latach,

które wszak – przypuszczam – zna chociażby dzięki zasłyszczanym opowieściom od starszego pokolenia. Ale należy tu dodać, że przy innej okazji mówi o zadanych Polsce cierpieniach, o prześladowaniach Polaków. Osobiste wspomnienia wojenne dziecka odnoszą się co najwyżej do przysyłanych sąsiadom zawiadomień o poległych ich bliskich na różnych frontach, najczęściej na wschodnim, a następnie już do bardzo wyraźnie zapamiętanego straszliwego roku 1945. Tymczasem ówczesne dzieci polskie, oraz pokolenie moich rodziców, nigdy nie zapomniały bomb spadających na otwarte miasta, na szpitale, na kościoły, nigdy nie wyrzuciły z pamięci śmierci zakładników, więźniów obozów koncentracyjnych z lat 1939-1945. Pamiętam, iż pierwsze bomby zrzucono na Lublin już 2 września. Mój rówieśnik, zaprzyjaźniony profesor historii Władysław Zajewski, rodem z Wilna, obecnie w Gdańsku, ujął swoje wspomnienia z 1 września w poruszających strofach:

W ogrodzie tuż obok schronu
Gdzie padłem skulony na grzędę
Sparaliżowany strachem.
Z nurkujących sztukasów nad nami
Na miasto kilkanaście bomb spadło

* * *

Wojna wkroczyła do mego domu i ogrodu
Ze wszystkiego nas okradła
Sąsiadom bezbronnym życie zabrała
A mnie w tułaczce szaty ubrała.

Odwołam się również do losów żony i jej rodziny. Ojciec jej należał do kolejowej straży ogniowej w Kutnie. Już w 1940 r. wyrzucono go z mieszkania i przydzielono lokal zastępczy, bardzo podły. Jej stryj, Kazimierz Rajkowski, wraz z 9 zakładnikami został rozstrzelany 3 listopada 1940 r. w Lipnie. Kilkunastoletni uczeń z Kutna, Zenek Polewicz ułożył z potrzeby serca „Elegię na stracenie dziesięciu lipowian”. Oto jej fragment:

Dziesięciu było
Dziesięciu mających piersi i ręce,
Którymi chleb dawali.
Ich było dziesięciu
Dziesięciu było igraszką luf.

W którym miejscu zostali skrycie zakopani, nie zdano nigdy ustalić.

Matka Foxa była akuszerką, natomiast ojciec rolnikiem; od 1941 roku pełnił funkcję burmistrza Barczewka, należał do ochotniczej straży ogniowej. Pamiętnikarz krótko notuje, że ojciec był członkiem NSDAP. Przyznaję, że podziwiam autora za powyższe wyurządzenie dokonane w imię prawdy. Nie analizuje motywów decyzji ojca, niewątpliwie ich nie znał. Ojciec deportowany już w styczniu 1945 r., zginął tegoż roku w okolicach Świerdłowska, o czym pamiętnikarz dowiedział się dopiero kilkadziesiąt lat później. Dodajmy, że wydał go w ręce NKWD żandarm niemiecki, który zresztą sam na miejscu został zabity. Również brat Ernst, wywieziony w 1945 r., poniósł śmierć w ZSRR.

Przyszły teść pamiętnikarza, mimo starań nie został przyjęty do partii hitlerowskiej, ponieważ był zbyt blisko związany z Kościołem. Generalnie dostrzegam spore podobieństwo odniesień niemieckich katolików wobec partii hitlerowskich do stosunku polskich katolików wobec partii komunistycznej. Dużej części jednych i drugich nie przeszkadzała antyreligijna ideologia hitleryzmu i komunizmu. Wstępowano do partii, zarazem unikano otwartego przyznawania się do Kościoła, a to bardzo często z pobudek oportunistycznych. Pisze autor, że nauczyciele w okresie hitlerowskim przedstawiali chodź do kościoła, ale poufnie prosili uczniów, aby się za nich modlili. Za czasów PRL nauczyciele i nie tylko oni, często chrzcili dzieci w miejscowościach odległych od miejsca swego zamieszkania.

W 1936 r. na 68 dzieci w starszych klasach Barczewka, aż 97% należało do Hitler Jugend. Również starsze rodzeństwo pamiętnikarza ulegało indoktrynacji nazistowskiej. Uroczystości hitlerowskie często wiązano z nabożeństwami kościelnymi, co było rzeczą – komentuje Fox – „zadziwiającą”. Można chyba uogólnić, że ludzie Kościoła warmińskiego bardziej lgnęli do ruchu hitlerowskiego niż odwrotnie, bo hitlerowcom nie zależało na pozyskiwaniu zaangażowanych katolików.

Tu znowu wtrącam wspomnienia moje i żony, tym razem z lat wolnej Polski. Rozwijało się wówczas wspaniale harcerstwo. W swoich pryncypiach było zgodne z zasadami chrześcijaństwa. Na przykład w zorganizowanych szeregach młodzież maszerowała do kościoła w święto Konstytucji 3 maja. Wychowanie patriotyczno-obywatelskie wspierane było religijnym i vice-versa. Wszak pokolenie moich rodziców pamiętało tak niedawno odzyskaną niepodległość



Profesor Ulrich Fox, ur. 1937 w Barczewku na Warmii. Autor wspomnień o latach dzieciństwa i młodości.

(1918), pamiętało prześladowania Kościoła katolickiego, polskiego języka, zesłania na Syberię itd. Dla nas dzieci święta narodowe posiadały duży ładunek uczuciowy, potęgowany opowieściami rodziców, wujów, stryjów o ich bojach za Polskę. Nie wchodząc w szczegóły, nie mam wątpliwości, że wychowanie młodzieży polskiej, pomimo pewnych mankamentów, pod względem obiektywnych wartości przewyższało wychowanie młodzieży niemieckiej przed II wojną światową. Potwierdziła to historia nadchodzących lat.

Czytając wspomnienia wielu dawnych mieszkańców Prus Wschodnich uderza mnie to, że w ogóle nie



Rodzice pamiętnikarza Katharina i Franz Fox (1929). Ojciec zginął w ZSRR (1945).



Brat pamiętnikarza, z lewej, ur. 1924.
Znalazł śmierć w ZSRR (1945).

zastanawiali się nad problemem moralnym faktu zatrudniania robotników przymusowych w ich gospodarstwach rolnych, czy w innych przedsiębiorstwach. Widocznie uważali, że był to normalny proceder zgodny z prawem, chociaż hitlerowskim. Podbite kraje winne były pracować na rzecz III Rzeszy, skoro jej synowie walczyli nie tylko w Europie, także w Afryce oraz na morzach i oceanach całego świata. Na ogół Niemcy nie znali nazwisk swych robotników, a tylko ich imiona. Nawet hrabina Marion Dönhoff przeszła do porządku dziennego nad ich niewolniczym statusem. Po prostu pracowali tu i koniec. Położenie ich było oczywiście zróżnicowane. Moja gospodyni, Franciszka Königsmann, gdy mieszkałem w drugiej połowie lat 50-tych we wsi warmińskiej Biesowo, należała niewątpliwie do osób obdarzonych litościwym sercem, skoro po latach odwiedziła ją jedna z robotnic. Na wyraźny rozkaz żandarma – opowiadała Königsmann – robotnicy musieli jadać w osobnym pomieszczeniu, byle nie wspólnie z Niemcami. Na porządku dziennym karano śmiercią robotników za tzw. Rassenschande. W miarę możliwości, zresztą bardzo ograniczoną, próbował przychodzić im z pomocą Kościół warmiński. Na temat stosunku autorów niemieckich do kwestii robotników przymusowych opublikowałem

przed kilku laty osobny artykuł³. Dopiero teraz Ulrich Fox, jako pierwszy wśród wschodniopruskich pamiętnikarzy, stosunkowo sporo miejsca poświęcił temu zagadnieniu. Zgodnie ze stanem rzeczy, a wbrew powszechnie stosowanemu terminowi, nazywa przywożonych robotników „Zwangsarbeiter”, unikając eufemizmu „Fremdarbeiter”. Wspomina, że w Barczewku pracował nawet 13-letni chłopczyk. Żandarm Franz Eichmann pod byle pozorem bił robotników gumową pałką. W nabożeństwach mogli uczestniczyć tylko raz w miesiącu, i to bez księdza, przy czym zabraniano im posługiwać się językiem ojczystym nawet w czasie spowiedzi! Poza tym wprowadzano zakaz uczestnictwa w Mszach św. niemieckich. Tak więc stosowano całkowitą segregację od miejscowej ludności. O tym wszystkim pisze, nie obwijając w bawełnę, Ulrich Fox.

Mój nieco starszy brat Stanisław (1927-2006), skończywszy szkołę handlową w Lublinie, aby uchronić się od wywózki do Reichu, czym prędzej zapisał się do nowej szkoły zawodowej (1943). Inny los spotkał żonę w Kutnie, które wcielono do III Rzeszy. Skoro ukończyła 14 lat, Arbeitsamt skierował ją jako Haushilfe do znajomej Niemki. Niestety, pani Freiheitowa okazała się osobą bez serca. Wiesia Rajkowska była dziewczyną drobną, słabiutką. Całe 12 godzin musiała sprzątać dom, gotować (do gospodyni przyjeżdżała często liczna rodzina spod Płocka), pracować w sadzie, ogrodzie. Kie-



Wiesława Rajkowska, z prawej strony (1943).
Już rok wcześniej Arbeitsamt skierował ją do pracy przymusowej.



Fotografia do „Kennkarty” Janusza Jasińskiego (1942).



Zofia Jasińska z Łabuń, ciotka autora, ur. 1892, była dwukrotnie wysiedlana z Zamojszczyzny

dyś poczęstowała koleżankę jabłkami, które opadły z drzewa i które mogły się tylko zmarnować. Freiheitowa zagroziła, że wyśle ją przez Arbeitsamt na roboty do Niemiec. Jesienią 1944 r. kopała w okolicach Płocka tzw. wał wschodni, warunki były fatalne, dokuczało zimno, wilgoć, kładła się spać w stodole w na wpół mokrym ubraniu. Następnie została służącą u rzeźnika w Kutnie, gotowała obiady dla 10 osób, szorowała wielkie garnki, miała zaledwie 16 lat. W grudniu 1944 r., wraz z innymi Polakami, zamierzano odesłać ją w głąb III Rzeszy, nie zdążono.

Podobnie do wielu innych pamiętnikarzy z Prus Wschodnich, również Fox – jak wspominałem – najwięcej miejsca poświęcił wojnie roku 1945, a więc maltretowaniu miejscowej ludności, rabunkom, morderstwom i gwałtom ze strony czerwonoarmistów. Miał 8 lat, wiele zapamiętał, resztę powtarzano sobie z ust do ust. Była to straszliwa trauma. Fox jako jeden z nielicznych pamiętnikarzy wschodniopruskich zastanawia się, dlaczego do tego doszło. Zwraca uwagę na zbrodnicze postępowanie w ZSRR nie tylko specjalnych jednostek, ale i Wehrmachtu, np. na jego współudział w mordach Żydów w Babim Jarze pod Kijowem. Autor, jeśli nie usprawiedliwia, to przynajmniej usiłuje zrozumieć okrucieństwa zwycięskiej armii radzieckiej. Tu ze swojej strony stawiam kropkę nad i. Wojnę prowadziły dwa zbrodnicze totalitaryzmy, stąd na każdym kroku znaczone była ludobójstwem i różnymi formami bestialstwa. Jednak III Rzesza ponosi większą winę, ponieważ to ona rozpoczęła wojnę, i w ogóle w czasie jej trwania nie liczyła się z prawem

międzynarodowym, czy ze zwykłymi prawami ludzкими, nie tylko w ZSRR. Oto kolejna egzemplifikacja. Ludności polskiej w Kutnie zabroniono chodzić do kościoła, zamknięto dla niej wszystkie szkoły łącznie z powszechnymi, w ten sposób przygotowywano ją tylko do pracy fizycznej, w przyszłości do roli helotów. Natomiast w Lublinie, tzn. w Generalnej Guberni – jeśli chodzi o szkolnictwo i Kościół – sytuacja przedstawiała się stosunkowo lepiej. Ze szkół powszechnych wprowadzono usunięto nauczanie historii i geografii, ale pozostawiono język polski chociaż z poważnymi ograniczeniami. Języka niemieckiego zaczęliśmy się uczyć dopiero w średnich szkołach zawodowych. Nabożeństw kościelnych nie zabroniono, chyba, że niektóre świątynie zamieniano na magazyny, jak nasz kościół św. Michała w Lublinie, w którym zostawiono jedynie prezbiterium, zakrytą i małą kaplicę. Gorzej było na Zamojszczyźnie objętej wysiedleniem. Z reguły wyrzucano tam księży, o ile ich nie więziono. Spod Zamościa wysiedlono (wypędzono) liczne rodzeństwo mojego ojca, Jasińskich. Dla ilustracji odwołam się tylko do dwóch przykładów. Siostra ojca, Zofia Jasińska, w czasie pacyfikacji w 1944 r. w ostatnim momencie cudem uniknęła Majdanka. Podobnie dzięki litościwemu Ukraińcowi uniknęła obozu albo wywózki do Niemiec druga siostra ojca, Maria Gałachowa, już więziona „za druty” do Zamościa. Są to tylko fragmenty moich odniesień odnoszące się do przywołanych przez Foxa wysiedleń mieszkańców niemieckich z Barczewka (przy czym autor nie nadużywa pojęcia „wypędzeni”). Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że róż-

Rezerwista Janusz Jasiński
w Czerwonym Borze. Stoi
pierwszy z lewej (1955).



nice w sposobie wysiedleń ludności polskiej i niemieckiej były kolosalne na niekorzyść pierwszej.

Skończyła się wojna, ośmioletniemu Ulrichowi Foxowi wypadło uczyć się w polskiej szkole. Początki były bardzo trudne. Dziecko wychowane w rodzinie i otoczeniu przeważnie niemieckim, zaczęło pobierać lekcje w języku polskim. Przypomina mi się epizod z Biesowa, w którym żona nauczała w drugiej połowie lat 50-tych. Na polecenie kierownictwa szkoły, aby pierwszoklasiści przynieśli z sobą podręczniki, jedna z uczennic przyniosła... ręcznik, bo brzmienie obu słów było podobne. Z czasów okupacji zapamiętałem podobne nieporozumienie. Kolega, na pytanie nauczyciela zadane po niemiecku, kim jest jego ojciec, wypalił: „Mein Vater ist ein Pferd”, chciał powiedzieć, że jest dorożkarzem.

Tak, jak dawniej Polacy pod zaborem pruskim w większych skupiskach niemieckich wtrącali różnego rodzaju germanizmy, podobnie po roku 1945, pamięta Fox, dzieci z domu niemieckie po kilku latach nauczania wprowadzały do potocznej mowy niemieckiej polonizmy, lub pojedyncze polskie słowa. Niesłusznie jednak autor przy charakterystyce warmińskiej gwary języka polskiego zalicza do niej obce naleciałości, tu germanizmy. Jeśli bowiem jest ich nadmiar, można już mówić o żargonie, o zepsutym języku.

Wspominana pani Königsman z Biesowa mówiła czystą gwarą warmińską, podobnie gwarą mazurską Adolf Kajka, syn poety. A propos Michała Kajki, warto wspomnieć, że to właśnie Ulrich Fox i jego żona Ursula, dokonali pierwszego przekładu na niemiecki kilku utworów mazurskiego poety (1996).

Z późniejszej perspektywy Fox ocenił, że poziom jego szkoły podstawowej w Barczewku był niski. Niezależnie od trudności nauczania dzieci polskich i niemieckich w tych samych klasach, w Polsce brakowało wówczas wykwalifikowanych nauczycieli, a to – jak usprawiedliwia Fox – z powodu tępienie polskiej inteligencji przez obu okupantów. Z tego rodzaju refleksją wśród wschodniopruskich autorów spotkałem się po raz pierwszy, jest to kolejny plus książki.

Jeszcze o sytuacji Barczewka w 1945 r.. Część mieszkańców uciekła przed Armią Czerwoną, wśród nich dwie starsze siostry pamiętnikarza. Opustoszałe domostwa zaczęli niebawem zajmować polscy osadnicy, m. in. dotychczasowi robotnicy przymusowi. Po pewnym czasie niektórzy Warmiacy wrócili, wówczas Polacy bez protestu oddali im gospodarstwa. A więc nie do końca był to „dziki Zachód”. Natomiast Fox nie mógł, słusznie, pominąć zjawiska szabrownictwa, chociaż w Barczewku nie występowało ono z takim natężeniem, jak w sąsiednich powiatach mazurskich.



Walenty Waśko,
wuj autora,
ur. 1895 pod
Zamościem,
uśmiercony
w Auschwitz
(1941).

Jeśli chodzi o codzienne relacje pomiędzy „autochtonami” a napływową ludnością, to pamiętnikarz większych antagonizmów nie notuje, myślę, że wynikało to z dwóch powodów. Po pierwsze - Warmiacy, jak na marginesie stwierdza Fox, - z wyjątkiem 3 rodzin, oprócz niemieckiego znali gwarę języka polskiego. Po drugie - łączyło ich wspólne wyznanie katolickie. Jednakże społecznej integracji nie było, obie społeczności dzieliły najbardziej ostatnie lata wojenne. Zawarto zaledwie 3 śluby „mieszane”, Warmianki wychodziły za Polaków. Pamiętnikarz tłumaczy to „deficytem” młodych Warmiaków, których brakowało z powodu wojny. Natomiast pani Königsmann komentowała problem inaczej, mianowicie, że Niemcy nie chcą „mieszać krwi”, czyli dał tu znać o sobie, jeśli nie swego rodzaju rasizm, to jednak niemieckie poczucie wyższości, tak mocno akcentowane w okresie hitlerowskim (Übermenschentum). W Biesowie zauważyłem interesujące zjawisko. Pomiedzy sobą Warmiacy rozmawiali po niemiecku, ani władze, ani polscy sąsiedzi nie mieli o to do nich pretensji. Pamiętajmy, że upłynęło zaledwie 10 lat od wojny. Kiedyś odwiedził mnie brat Stanisław. Mówił dobrze po niemiecku, akurat odbywała się zabawa, próbował przeto w tym języku nawiązać kontakt z Warmiakami, co jednak im się nie podobało. Po dziś dzień nie mogę sobie tej postawy wytłumaczyć. Może chodziło o takie myślenie: „język niemiecki – to nasz świat, obcym nic do niego”.

Autor cytuje zarządzenie polskich władz państwowych po roku 1945 dotyczące usuwania śladów niemieckości na różnych obiektach sakralnych. Ale było

ono sabotowane przez Kościół. Zwiedzając cmentarze w latach 90-tych, dostrzegłem liczne nowe, tzn. po roku 1945 ustawiane nagrobki z inskrypcjami niemieckimi, co mimo wszystko dowodziło postawy tolerancyjnej wobec ludności niemieckiej. Nie oznacza to, że nekropolie niemieckie nie ulegały stopniowej degradacji, co jednak wynikało głównie z braku opieki ze strony rodzin, które wyjechały do Niemiec, a z drugiej strony z nieuczciwości kamieniarzy, wykorzystujących materiały ze starych, opuszczonych nagrobków do stawiania nowych.

Pamiętnikarz opisując uroczystości pogrzebowe swego ojczyma, wspomina, że przez dłuższy czas odmawiano modlitwy nad otwartą trumną w domu, przychodzili krewni, sąsiedzi, znajomi. Odmawiano różaniec po niemiecku, bo w pobliżu nie mieszkali Polacy. Także pamiętam tragiczną śmierć młodego organisty Teschnera w Biesowie (zabił się na motorze). Dom pogrzebowy nawiedzali wszyscy, Warmiacy, Polacy. Modliliśmy się każdy w swoim języku. Być może w gronie rodzinnym i bliższych znajomych różaniec i tu odmawiano po niemiecku.

W 1952 r. Ulrich Fox podjął naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Olsztynie przy ul. Wyzwolenia, jak sam pisze „w ogólniaku”. Już na początku roku szkolnego jeden z nowych kolegów przezwiał go szpetnie „małym Hitlerkiem”. Właściwa reakcja nauczycielki załagodziła incydent. Mnie natomiast przypomniało się zajście z 1955 r. Jako rezerwiści odbywaliśmy ćwiczenia wojskowe w Czerwonym Borze. Wśród nas znajdował się niejaki Hinzmann z Barczewa, rosłe chłopisko, którego ktoś nazwał „szwabem”. Hinzmann złożył skargę u dowódcy plutonu. Ten, podczas wieczornej zbiórki oświadczył energicznie, że Hinzmann jest naszym kolegą, towarzyszem broni, jego pochodzenie nie ma tu nic do rzeczy, kto będzie go obrażał, tego spotka surowa kara. Poskutkowało. Trzeba tu dodać, że moi towarzysze broni, rezerwiści, byli o kilka lat starsi ode mnie, każdy z nich przeżył okupację.

Ulrich, jako uczeń szkoły polskiej, musiał wśród lektur przeczytać „Krzyżaków” Sienkiewicza. I znowu miłe zaskoczenie. Dotychczasowe znane mi opinie niemieckie o „Krzyżakach” są zdecydowanie negatywne. Tymczasem Fox pisze, że jest to dzieło „patetyczno-patriotyczne”. Z „Krzyżakami” skojarzył mu się interesujący epizod z Krakowa. W 1992 r. w jednym z hoteli załatwiał formalności związane z zameldowaniem. Ponieważ pracownica w recepcji miała kło-

Ulrich Fox na studenckich ćwiczeniach wojskowych. Stoi pierwszy od prawej.



pot z poprawnym wypisaniem jego imienia, zaczął je literkować. Wówczas wtrąciła się sprzątaczką: „tak, jak Ulrich von Jungingen”. Komentuje Fox: „Wszystko stało się jasne”.

Na uczniu „ogólniaka” wielkie wrażenie zrobiła wycieczka szkolna z 1954 r., w czasie której zwiedzano Warszawę, Kraków, Zakopane a także Oświęcim (Auschwitz). Zirytował Foga zwłaszcza napis na bramie: „Arbeit macht frei”. Pełen wrażliwego skupienia nawiedził bunkier śmierci o. Maksymiliana Kolbego: „Byłem dogłębnie zawstydzony, smutny i jednocześnie wściekły na nazistów, którzy nie tylko Niemców w taką przepaść wtrącili. Oni byli tymi, którzy rozpoczęli straszliwe zbrodnie, chcieli zniszczyć Żydów w ‘ostatecznym rozwiązaniu’ i którzy Polaków, Rosjan, Romów, jak i inne narody prześladowali i zabijali. Oni rozpętali drugą wojnę światową i spowodowali wiele cierpień, ucieczkę, wypędzenie i prześladowania”. Jak mniemam, owe trafne przemyślenia pochodzą już z dojrzałego wieku. Był on po kilku latach po raz drugi w Oświęcimiu, tym razem w towarzystwie studentów ze Skandynawii, wspomina, że jako Niemiec najchętniej zapadłby się ze wstydu pod ziemię. A przecież osobiście nic tu nie zawinił. Jak widać, świadomość dziedzictwa narodowego nie jest pojęciem wydumanym, lecz rzeczywistą prawdą. Przez całe stulecia Niemcy są dumni z Gutenberga i odwrotnie długo będą się wstydzić Oświęcimia. Konstatacja tego rodzaju, rzecz zrozumiała, dotyczy każdego narodu. Z powodu Oświęcimia muszę dorzucić wspomnienie rodzin-

ne. Mąż siostry mojej matki, Walenty Waško, rolnik z Sitańca pod Zamościem, członek tajnej organizacji niepodległościowej Związku Walki Zbrojnej, aresztowany na Wielkanoc 1941 r., już u schyłku listopada 1941 roku został uśmiercony i spalony w oświęcimskim krematorium. Stryj Antoni Jasiński przesiedział kilka miesięcy w Oranienburgu (1943), a drugi, Jerzy Jasiński na Majdanku (1944).

Przyszedł Polski Październik (1956), ludność warmińska i mazurska zaczęła masowo opuszczać ziemię ojczystą w ramach tzw. łączenia rodzin. Piszę celowo, tak zwane łączenie rodzin, bo w gruncie rzeczy chodziło obu stronom o posłużenie się pozorowanym pretekstem. Nigdy rodziny niemieckie nie wracały do Polski, lecz zawsze wyjeżdżały do Niemiec. Pamiętam, że nasi sąsiedzi w Biesowie Kuklickowie zamożni gospodarze (rodzice + czworo dzieci) wyjechali do Niemiec, bo tam żyło jeszcze dwóch synów. Transfer w tym wypadku powinien się odbyć w odwrotnym kierunku. Niebawem nastąpił prawdziwy szal wyjazdów, nie pomógł rozpaczliwy apel prymasa Wyszyńskiego w Gietrzwałdzie, aby Warmiacy nie opuszczali rodzinnej ziemi. Widziałem dramatyczne pożegnania na dworcu olsztyńskim, wyjechała „nasza” pani Königsmann, szybko zmarła w Niemczech. We wsi mówiono wówczas: „starych drzew się nie przesadza”. Nikt nie chciał być samotny wśród Polaków (weil sie allein unter den Polen nicht leben möchten). Ale dodawano jednym tchem – pisze Fox –: „jestem Niemcem i dzisiaj chcę żyć

w Niemczech". Pamiętam film telewizji fińskiej z lat późniejszych pt. „Antonius wychodźca”. Chodziło o zamożnego gospodarza z Sząbruka, cieszącego się we wsi szacunkiem. Pokazano go, jak z godnością prowadzi księdza z Panem Bogiem pod baldachimem w czasie procesji Bożego Ciała. A później jego płacz, gdy na zawsze żegna się z sąsiadami, z ziemią rodzinną i wsiada do pociągu, wiezie dobytek, żywy i martwy. Żona po drugiej stronie granicy natychmiast przechodzi na język niemiecki. I oto w nowym kraju następuje społeczna degradacja Antoniusa, bo zostaje wyrzucony z naturalnego podglebia warmińskiego, a w Niemczech jest niczym. Jeśli chodzi o mnie, to odczuwałem autentyczny żal, że emigrują nie tylko nasi znajomi, ale w ogóle Warmiacy, Mazurzy niejednokrotnie zaprzyjaźnieni. Prywatnie porównuję zanik tego ludu do wymarcia przedstuleciami ludności staropruskiej. Następny etap wyjazdów nastąpił po podpisaniu umowy z kanclerzem Brandtem w 1970 r. Do tej daty „autochtoni” mieli cichą nadzieję - ocenia pamiętnikarz, - że Prusy Wschodnie wrócą do Niemiec.

Po egzaminach maturalnych rozpoczął studia na Politechnice Szczecińskiej. Jak wszyscy studenci musiał i on odbyć ćwiczenia wojskowe. Miał wówczas wewnętrzne rozterki ze złożeniem przysięgi. Opuścił Polskę w 1959 r. Nigdy siebie nie nazywa „wypędzonym”, tylko przesiedleńcem. Akcentuję ten fakt, ponieważ spotkałem się z Niemcami, którzy wyjeżdżając z Polski jeszcze w latach 80-tych czym prędzej zapisywali się do Bund der Vertriebenen. W Niemczech odniósł się krytycznie do niektórych wykładowców, którzy rozpoczęcie II wojny światowej usprawiedliwiali – jak mówili - krzywdą wersalską, a o zbrodniach III Rzeszy prawie nie wspominali. Fox wprawdzie wyjechał do Niemiec ale – wyczuwam – bez abominacji do Polski, co ułatwiało mu psychologicznie częste przyjazdy do niej, po raz pierwszy już w 1962 r. Jednocześnie cenił sobie, podobnie jak i jego żona Ursula z domu Suray, pochodząca również z Barczewka, znajomość języka polskiego, którą oboje pogłębiali w Bundesrepublik.

Na temat historii Warmii, zwłaszcza XIX i początków XX w. wypadało mi niejednokrotnie dyskutować z historykami niemieckimi. Tym razem nad niektórymi ujęciami Foxa przechodzę do porządku dziennego, ponieważ podmiotem książki jest jej autor, jego osobiste losy ukazane na tle całej społeczności Bar-

Ursula Suray (1955), z czasem żona Ulricha Foxa. Opiekuje się byłymi więźniami obozów koncentracyjnych.



czewka. Natomiast szersza historia biskupstwa – to tylko dalszy kontekst przeżyć autora. Odniosę się tylko do dwóch kwestii.

Po pierwsze – autor zgłasza zastrzeżenie odnośnie do przemianowania niemieckiej nazwy Alt Wartenburg na gwarową Stary Wartembork. Nie sądzę, że słusznie, ponieważ obie nazwy funkcjonowały równocześnie bardzo dawno. Wprawdzie Alt Wartenburg miał charakter nazwy urzędowej, to z drugiej strony Stary Wartembork był w powszechnym użyciu przez ich mieszkańców.

Po drugie – Fox zatytułował swoją książkę „Południowa Warmia”, czyli określił ją pod względem geograficznym. Poszedł za ogółem historyków niemieckich, kierujących się motywami politycznymi. A przecież chodzi o odróżnienie tej części, w której przeważał język polski. termin Polska Warmia zaczął funkcjonować już od połowy XIX w. i to dzięki rodowitym, polskojęzycznym Warmiakom. Zanim ukształtował się ruch polski, posługiwali się nim także Niemcy, np. „Ermländische Zeitung”. Utrwaliła tą nazwę etnograficzna rozprawka ks. Walentego Barczewskiego pt. *Geografia polskiej Warmii* (1917). Póki nie zrodziła się nazwa „Polska Warmia”, nie istniała także „Południowa Warmia”⁴. Uważam, że można stosować oba terminy.

* * *

Na zakończenie kilka zdań o humanitarnej działalności społecznej pamiętnikarza i jego żony.

Wspomniałem już, że Ulrich Fox dwukrotnie w swoim życiu pojechał do Oświęcimia, który wywarł na nim przejmujące wrażenie. W 1973 r. powstała w Niem-

czech Fundacja św. Maksymiliana Kolbego (Maximilian Kolbe-Werk) mająca na celu roztaczanie opieki nad ofiarami obozów hitlerowskich. Fox zaczął się spotykać z nimi już w 1976 r., ale prawdziwą akcję charytatywną podjął po przejściu na emeryturę. W jej ramach jeździ w ostatnich latach nawet poza granice Polski, do krajów byłego Związku Sowieckiego, by tam dawnym więźniom wręczać zasiłki materialne. Działalność ta nie ma charakteru biurokratycznego. Fox mówi także po rosyjsku, przeto rozmawia z ludźmi, wysłuchuje ich wspomnień, oni otwierają przed nim swoje serca. Dzięki temu w omówioną książkę wplótł tragiczne losy Julii Malininy Grigorewnej z Kijowa, ofiary dwóch totalitaryzmów. W podobny sposób działa Ursula, jego żona, która już w 1949 r. (mając 11 lat) dowiedziała się, czym był Oświęcim. Wyszukuje ona głównie w Polsce byłych więźniów i organizuje dla nich dwutygodniowe pobyty wypoczynkowe w Bundesrepublik, otaczając ich serdeczną, pełną wrażliwości opieką. Ci starzy ludzie niejednokrotnie po raz pierwszy spotykają się z innymi Niemcami niż z takimi, których zapamiętali z lat 1939-1945. Drugi rodzaj zapraszanych osób dzieli się swoimi przeżyciami okupacyjnymi w środowiskach niemieckich, zwłaszcza młodzieżowych. Foxowie dotarli także do grupy Żydów, którzy dzięki pomocy zakonów, rodzin polskich i w inny sposób znajdując schronienie, mogli przeżyć

Holocaust w Polsce. W sumie jest to szlachetna działalność humanitarna, służąca autentycznemu pojednaniu⁵. Można tylko za nią podziękować państwu Foxom, i to z wielką wdzięcznością, a z okazji ukończenia 70 roku życia (Ulrich 2007; Ursula 2008) złożyć serdeczne gratulacje i życzenia dalszych, skutecznych efektów w oddolnym dążeniu do ułożenia jak najlepszych, nacechowanych wzajemną życzliwością stosunków wśród narodów Europy Środkowo-Wschodniej.

¹ Ulrich Fox, *Südliches Ermland. Aufwachsen – Weggehen – Ankommen*, Paderborn 2006. Herausgeber: Ulrich Fox. Fotos: Archiv Ulrich Fox, ss. 236, w tekście liczne ilustracje.

² Janusz Jasiński, *Czas odległy i bliski. Paczosowie i Jasińscy w XIX i XX wieku. Zamojszczyzna – Lublin*, Olsztyn 1998. Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie, ss. 244, w tekście liczne ilustracje.

³ Janusz Jasiński, *Niemiecki wizerunek robotników przymusowych w Prusach Wschodnich*, Komunikaty Mazursko-Warmińskie 2001, nr 2, s. 277-281.

⁴ Janusz Jasiński, *O nazwie „Polska Warmia”*. W: *Balticum. Studia z dziejów polityki, gospodarki i kultury XII-XVII wieku ofiarowane Marianowi Biskupowi w siedemdziesiątą rocznicę urodzin*. Pod red. Zenona Huberta Nowaka, Toruń 1992, s. 131-138.

⁵ Zob. Ursula u. Ulrich Fox, *Ehrenamtliche Mitarbeit im Maximilian – Kolbe – Werk*, Ermlandbuch 2007, s. 61-88; Janusz Jasiński, *Ulrich Fox – profesor z Warmii. Z okazji jubileuszu*, Poślaniec Warmiński, 2007, nr 10, s. 1

JAN MUSZYŃSKI

Bez Niego bylibyśmy bardziej samotni

To pisanie o moim pierwszym Szefie jest oznaką pewnej desperacji. Myślę, że gdybym doczekał się o nim monografii wraz z albumem dobrych, kolorowych reprodukcji, to przestałbym wykorzystywać każdą możliwość publikacji, aby, jak to się mówi: - „pamięć się o Nim nie zatarła”.

Monografia jest konieczna, ilustrowana Jego twórczością, gdyż dzisiaj w świecie obrazków, tekst o malarzu, bez doskonałych kolorowych fotografii Jego prac, jest całkowicie pozbawiony niezbędnej ekspresji skierowanej do czytelnika. Ilustracje w artykule o malarzu są ważniejsze niejednokrotnie aniżeli sam tekst.

Przeczytany i przemyślany tekst stałby się częścią świadomości mieszkańców naszego miasta.

Do Zielonej Góry dotarliśmy w 1956 r. Dwaj historycy sztuki, Staszek Kowalski i ja, po wydarzeniach Poznańskiego Czerwca... Wojewódzki Konserwator Zabytków zatrudnił mnie...i robił wszystko, aby i Staszek przyjechał do Zielonej Góry. To działanie zaskarbiło sobie u nas dla niego ogromne poczucie wdzięczności. Klem zapewniał radość i poczucie swobody. To był wolny człowiek. Utalentowany we wszystkich dziedzinach, od muzyki do sportu. Wirtuoz gry na organkach i znakomity pływak. Bokser i lekkoatleta. Ale nade wszystko artysta malarz. To było



Klem Felchnerowski (z prawej), żona Klema Ewelina, Bogdan Kras, archeolog. Budapeszt 1966. Fot. ze zbiorów J. Muszyńskiego.

szczęśliwe wydarzenie w naszym zawodowym doświadczeniu skomplikowanych spraw administracyjnych.

Jednak coraz mniej się o nim mówi. Można raczej powiedzieć, że piekło prowincji, tamtych czasów, go pochłonęło.

Kim był? Na drzwiach miał napisane kim był.

KLEMENS FELCHNEROWSKI

Wojewódzki Konserwator Zabytków

Historyk Sztuki

Artysta Malarz

Technik Budowlany

Wizytówka była zróżnicowana kolorystycznie. Imię i nazwisko w kolorze czarnym, wytłuszczone. Artysta Malarz, w czerwieni, reszta w zgasłej sepii.

Wdzięczność - słowo serdeczne. Życzliwa, ciepła pamięć zachowana po dziś dzień, za działanie, czyn, poparcie. Wdzięczność - za pomoc w czasie trudnym, kryzysie dotyczącym spraw ducha i egzystencji materialnej. Wdzięczność - wartość tego słowa odczułem wcześniej, gdy zdałem sobie sprawę ile Mu zawdzięczam w nauce zawodu. Wracam, też z poczuciem żalu za tą przyjaźnią tak bezsensownie



Jan Muszyński i Klem Felchnerowski (w okularach). Koźuchów 1957. Fot. ze zbiorów J. Muszyńskiego.



Klem Felchnerowski (1966). Ze zbiorów Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze.

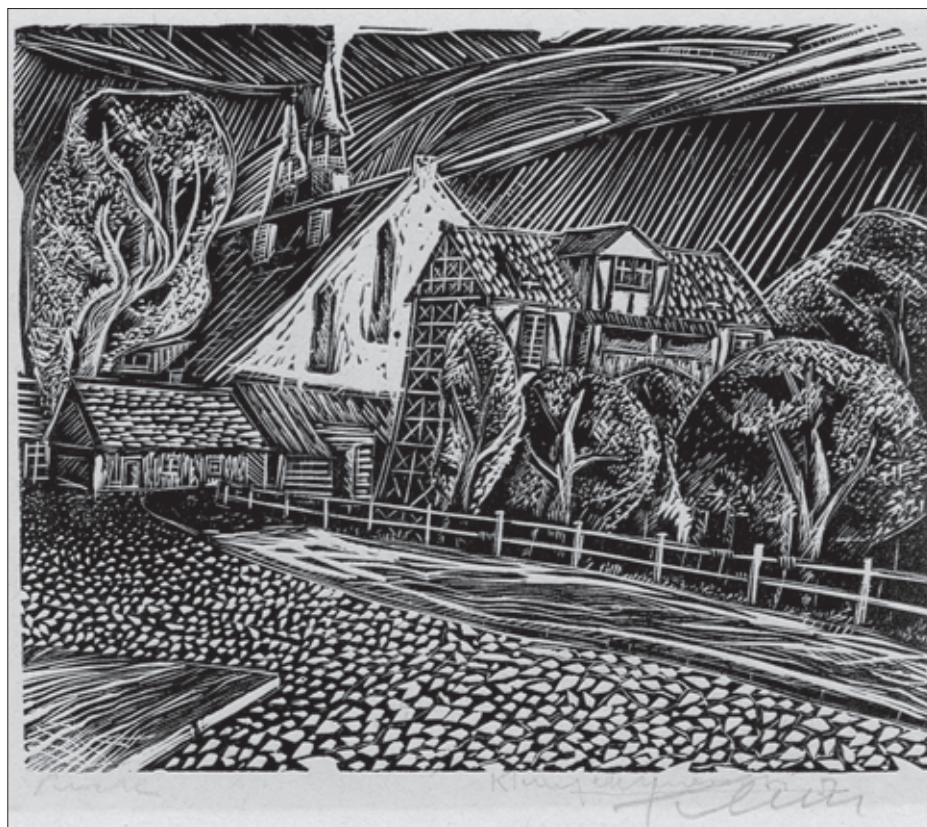
zakończoną, przyjaźnią chwilami radosną, wewnętrznie rozedrganą, ale także mającą chwile dramatyczne, ciemne. Piszę te słowa o człowieku, który nie pozwolił zniszczyć marzeń, że czas trudny i marny musi się skończyć.

Życie urzędnika wówczas składało się z wiecznych narad, posiedzeń, uzgodnień, ale nasz Szef nie mar-

nował czasu na rzeczy błahe. Zawsze znalazł czas na zabawę, której nadawał głębszy sens. Wśród rozdygotanych żurnalistów, ktoś odważnie stwierdził, że „...dzisiaj nie wystarcza rozum robotniczo-chłopski. Trzeba do budowy socjalizmu wciągnąć lewicową inteligencję”. Klem miał paradoksalnie odrębne zdanie, twierdząc, że inteligencja była zawsze prawicowa.

U Klema ucieczka w alkohol stała się dosyć wcześnie ucieczką od życia - przed dramatem egzystencji. W końcu jednak stała się sednem prawie każdej poważniejszej rozmowy. Aby temu piekielnemu kręgowi nadać humanistyczny kształt, Klem, jeszcze stale czujny i panujący nad sytuacją, planował biesiady usprawiedliwiając je nauką i filozofią w jej zabawowym wydaniu. Ten narzucony płaszczek kamuflował istotny sens a zarazem nobilitował zebranych wysłuchujących przy kieliszku pseudo naukowych bredni, wygłaszanych z powagą i wcześniej zaplanowanych.

Rok 1956 przyrównywaliśmy do czasów renesansowych. Czas „odwilży” zgromadził wielu miłośników badań naukowych w Sekcji Regionalnej Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Nazywano ich molami archiwalnymi albo badaczami regionalnymi. Jedynym prawem do zabierania głosu, a co gorsze do publikacji, był lokalny patriotyzm. Ponieważ umiłowanie ziemi nadodrzańskiej szło w parze z niewiedzą, zapewne z tego



Klem Felchnerowski
„Pejzaż podmiejski
(motyw z Pucka)”,
drzeworyt 1949. Ze
zbiorów Muzeum Ziemi
Lubuskiej w Zielonej
Górze.

powodu była nasza urzędnicza przygoda w majestacie samego sekretarza Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Zielonej Górze. Mój Szef zabierał mnie ze sobą na każdą okazję, jako, że miał słabość przedstawiać mnie jako swojego asystenta. Toteż w gabinecie znalazłem się obok Szefa i cenionego archeologa pracującego nad polskością ziem nadodrzańskich, Edwarda Dąbrowskiego. Sekretarz usadził nas pod palmą, podszedł do biurka, zwałił się udręczony na fotel i odczytał z kartki: - „Towarzysze, jest potrzeba abyście napisali monografię Zielonej Góry”. Edek pokraśniał z radości, ale za chwilę o mało dostałby zawału. Sekretarz powiedział, że sprawa jest pilna i daje nam tydzień czasu. Mój Szef nie odezwał się jednym słowem. Edek coś tam mamrotał o terminie zbyt krótkim, ale Sekretarz powiedział, że jesteśmy ludzie na poziomie bo mamy wyższe studia, czyli jesteśmy elita. Wtedy przyjaciółmi Klema była istotnie „elita intelektualna miasta”. Jest prawdą, że nie była zbyt liczna. Janusz Koniusz, ceniony poeta i publicysta „Nadodrza”, mógł stwierdzić, znacznie później, że z magistrów w Zielonej Górze nie dałoby się skompletować jedenastki do gry w piłkę nożną.

Klemens Felchnerowski urodził się 4 listopada 1928 r. w Toruniu. Do 1943 r. skończył szkołę podstawową i rozpoczął naukę zawodu w szkole mierniczej gdzie uczono także rysunku technicznego. Trzeba dodać, że w tym czasie uczył się także malarstwa i rysunku prywatnie, u dwóch monachijskich profesorów, Hansa Gebeleina i Karla Hemnerleina. Po wojnie ukończył Państwowe Liceum Budowlane a także już w 1945 r. zaczął uczęszczać na Wydział Sztuk Pięknych Uni-



Autoportret Klema (1974). Ze zbiorów Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze.

wersytetu Mikołaja Kopernika. Jako technik budowlany w 1947 r. zdał egzamin na Wydział Architektury Politechniki Gdańskiej, nie porzucając studiów artystycznych. W konsekwencji w 1952 r. uzyskuje dwa dyplomy. Artysty malarza w Katedrze Malarstwa Ształugowego u prof. Tymona Niesiołowskiego i Stanisława Borysowskiego, oraz magistra zabytkoznawstwa i konserwatorstwa u prof. Jerzego Remera, gdzie przedstawił pracę z zakresu inwentaryzacji i analizy historycznej obiektu zabytkowego. Był już wówczas autorem kilku opracowań badawczych z tego zakresu. Dotyczyły one architektury, kwerendy archiwalnej, prób rekonstrukcji zabytkowych budowli oraz opra-



Wystawa jubileuszowa Klema Felchnerowskiego (1978). Ze zbiorów Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze.

cowań urbanistycznych i studiów historycznych wybranych obiektów. Gdy powierzono Mu stanowisko Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w nowopowstałym województwie miał 24 lata i był już znakomitym fachowcem. Od razu trzeba dodać, że także organizatorem.

Wojewódzki Konserwator Zabytków mgr Klemens Felchnerowski opracował program, z którego dzisiaj możemy zrekonstruować ówczesny stan obiektów zabytkowych, świadomość władz terenowych, oraz politykę władz województwa w odniesieniu do zabytków. Pozostawił po sobie notatki w których stworzył lustrzane odbicie pracy dwóch osób w komórce konserwatorskiej, Pani mgr Krystyny Klęsk i swojej własnej. Stworzył służbę konserwatorską w naszym województwie. Nie sposób przecenić Jego kompetencji i zasług w tym zakresie. Władze przyznały Klemowi mieszkanie przy ul Fabrycznej, z puli specjalistów, którą miał do dyspozycji ówczesny Przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej. Zamieszkał w bloku przeznaczonym dla wojskowych i prokuratorów. Stanowił nikły procent nietypowej profesji w tej walizce mieszkalnej.

Po kilku latach Klem dostał mieszkanie na nowobudowanym Osiedlu Wazów a ja wraz z rodziną dostałem przydział na ten pokój z kuchnią.

Jako artystę malarza Klema piętnowano za brak ideowej koncepcji w sztuce. Recenzent „Gazety Zielonogórskiej” wytykał bezideowe pejzaże Felchnerowskiego, karcił Go za niedostrzeganie i pomijanie „ważnego zagadnienia przebudowy naszej wsi” a także wyrażał arogancką nadzieję, że „zetknięcie się z krytyką pozwoli mu poznać własne błędy”. Jestem pewien, że Klem miał własną teorię sztuki, nawet w czasie gdy pisał pełne hipokryzji recenzjonki dla swoich przyjaciół.

Klemens Felchnerowski tutaj stworzył swoją małą ojczyznę.

W grudniu 1953 r. urodził się pierwszy syn, Armand Wolfgang, a w marcu 1956 r. Tytus Klemens. Obaj są dzisiaj w Niemczech, mieszkają w Monachium.

Członkiem Stowarzyszenia Historyków Sztuki i Związku Polskich Artystów Plastyków Klem był już od roku 1952. Rok później zapisał się do Polskiego Towarzystwa Archeologicznego. W 1955 r. został wiceprezesem poznańskiej delegatury ZPAP w Zielonej Górze. Został pierwszym prezesem, gdy w roku 1959 plastycy dobili się własnego Oddziału. Zakładał Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego, był członkiem założycielem Lubuskiego Towarzystwa Kultury i Lubuskiego Towarzystwa Nauko-



Tablica upamiętniająca Klema wmontowana w zielonogórski „deptak”. Fot. M. Tujdowski (2007).

wego. Krótco był pedagogiem na naszej WSP. Był także współzałożycielem „Nadodrza” z legitymacją nr. 1, redaktorem technicznym, ilustratorem, i udzielał się aktywnie w Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym. Robił scenografię do teatru oraz do korowodów winobraniowych. Robił to wszystko naraz, a co najważniejsze jakoś sobie dawał radę w czasie. Obok tych zajęć zawodowych i społecznych pozostał ponad wszystko malarzem.

Czy Jego twórczość zawierała jedną myśl, jakieś kategoryczne przesłanie jedynej prawdy o świecie? Jakie były Jego przykazania, w jakich kanonach się poruszał, w jakiej liturgii żył? - „Gdybym wiedział jaki obraz namaluję przestałbym malować”.

Profesorem w pracowni, do której uczęszczał Klem w Toruniu, był Tymon Niesiołowski. W roku 1950. Klem miał 22 lata. Jego Profesor 68. Należał do długowiecznych artystów, żył 83 lata. Wszystko, co dotyczyło myśli plastycznej w okresie międzywojennym, było także jego udziałem.

Klem nie został wpisany w myśl plastyczną naszego kraju. Znani krytycy wyrażali się pochlebnie o jego malarstwie, twórczym niepokojem i trudnych poszukiwaniach.

Dzień 25 stycznia tylko w dopołudniowym fragmencie był czasem z zachowaną świadomością. Klem wstał rano, ogolił się, wysłuchał radia i wpisał do notatnika, jakie zakupy poczynił. Klemens prowadził te zapiski do samego końca, dlatego jest możliwość dokładnej rekonstrukcji Jego ostatnich przytomnych godzin. O godzinie ósmej rano był już w Muzeum w Dziale Sztuki Współczesnej, którym kierował jego syn Armand. Po drodze kupił „Trybunę Ludu” i „Gazetę Lubuską”. Jako dygresję dodam, że był znany z tego czytania „Trybuny” przed „Ratuszową”, jako że odda-



Rondo w Zielonej Górze otrzymało imię Klema Felchnerowskiego. Fot. M. Tujdowski (2007).

wał się lekturze zanim otworzono ten lokal. W Muzeum był do dziesiątej i właśnie wyszedł do swojego ulubionego lokalu. „Ratuszową” bowiem wówczas otwierano o tej porze.

Klemens w dniu 25 stycznia 1980 r., tego feralnego dla jego przyjaciół dnia, był w lokalu do godziny 11,45. Wyszedł szybko, gdyż umówił się z Armandem w swojej pracowni. Razem mieli przygotować planszę do wystawy „Barwy Kraju”, której Armand był komisarzem. W pracowni ojca zamierzał napisać także informację o wystawie. Gdy wyładowywał plansze przed pracownią podeszła do niego żona dozorczy: - „Pana ojciec się zabił, zabrało go pogotowie” powiedziała. Armand wniósł plansze na czwartą kondygnację i usłyszał ponownie: - „Pana ojciec się zabił, zabrało go pogotowie”. Dopiero wtedy zatrwożyła go cisza. Ojca nie było w pracowni. Jak to się mogło stać? Klem wchodzi do bloku. Pokonuje pierwsze stopnie. I właśnie wtedy, gdy już prawie osiągnął podest, miał postawić na nim nogę, zrobił pół obrotu i runął głową w dół.

Postanowiłem prześledzić ostatnie chwile jego życia.

Karetka podjechała do Izby Przyjęć około 12,30. Już na klatce schodowej zastosowano pośredni masaż serca. Nie reagował na żadne bodźce świetlne, dźwiękowe, bólowe. Całkowita arefleksja, źrenice szerokie,

sztynne, wyciek krwi z lewego ucha i nosa. Właśnie tutaj lekarz podejrzewał uraz wielo narządowy i złamanie podstawy czaszki. Po godz. 13.00. po konsultacjach, ustalono ostateczną diagnozę. Specjaliści z Intensywnej Opieki Medycznej decydują o przyjęciu pacjenta na „R-kę”. Dzień 26.01. Nadal arefleksja, ułożenie kończyn bezwładne, brak odruchów głębokich. Klemem zajmowało się trzynaście osób:- 3 osoby w karetce, 3 osoby w Izbie Przyjęć, 2 osoby z Oddziału Intensywnej Terapii, 2 lekarzy i 3 pielęgniarki na Oddziale „R”. Konsultacji udzielali: - laryngologa proszono raz, neurologa czterokrotnie, okulistę dwa razy.

Dzień 27.01. godz. 10.00. Zatrzymanie czynności serca - w monitorze linia izoelektryczna. Klem nadal jest ratowany przez całą ekipę lekarzy. Po pięciu minutach powrót czynności serca. Za czterdzieści pięć minut ponowne zatrzymanie. Tym razem się nie udaje. Po wykorzystaniu wszelkich możliwości, uznano chorego za zmarłego. To był dzień 27.01. 1980 r. godz. 11.15.

Los zgotował Mu rolę ofiary. Nie zdążył się zrealizować w czasie zamkniętym przeszłością, ani osiągnąć tego, co powstawało w marzeniach. Żył zbyt krótko. Jego zapis artystyczny obejmuje dwadzieścia pięć lat życia. Objawił się jako utalentowany twórca w latach pięćdziesiątych, zmarł na progu lat osiemdziesiątych. Tworzył na ziemi wytrzebianej z wszystkiego co jednoznacznie było polskie. Był pionierem wznoszącym gmach sztuki na Ziemiach Odzyskanych z ich patriotycznym desygnatem. Dzięki Niemu opieramy się już o tradycję. Jesteśmy mniej samotni.

Muzeum walczy o Jego pamięć. Zorganizowało w 2005 r. wielką wystawę przeglądową dorobku artystycznego Klema. W otwarciu uczestniczyli wzruszeni synowie. Dumny katalog opracował Leszek Kania. Dyrektor Andrzej Toczewski wmontował w płyty „deptaka”, przed muzeum, brązową tablicę upamiętniającą postać Klema.